

Medical Duo™ *romans i medycyna*

Gill Sanderson *Lekarz arystokrata*

Pulsująca Lucy Stephens zakochuje się w Marcu Devalierze, francuskim lekarzem przebywającym na krótko w Anglii. Marc odważnie jest to uczucie, jednak wie, że wkrótce będzie musiał wrócić do Prowansji, by zastąpić matkę w zarządzaniu rodzinną przychodnią. Nie śmie prosić Lucy, by zerwała z dotychczasowym życiem i zaszyła się z nim na odległość...

Merredith Webber *Odważna lekarka*

Ella Marlen i Nash McLane prasa jacht czim byli w szkole średniej parę, a kiedy wyjechali na studia, ich drogi się rozszły. Teraz, po dwunastu latach, już jako doświadczeni lekarze spotykają się w rodzinnej australijskiej szpitalu Faberale. Ella przyjeżdża tu do pracy. Nash odwiedza matkę. Porzeka w swojej obsłudze coraz się zakopotać...



W tym miesiącu polecamy:

Romans Duo
Hannah Bernard
Rok bez rancji
Carol Grace
Prezent dla sreta

HARLEQUIN

www.harlequin.pl



E-NA1279 Z



Gill Sanderson

Lekarz arystokrata

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Aż trudno uwierzyć, że od ślubu Jenny minął już rok, pomyślała Lucy Stephens, patrząc na oprawioną w ramki fotografię, na której uśmiechnięta panna młoda siedzi jeszcze w wózku inwalidzkim, w długiej białej sukni wygląda jak marzenie, a przy niej stoją druhny: sama Lucy oraz jej druga przyjaciółka, Maria, także od niedawna szczęśliwa mężatka. Również i na jej ślubie Lucy wystąpiła w roli druhny, a jak powiadają, która zawsze druhną, ta nigdy żoną.

Przypomniała sobie rozmowę z pastor Madeleine Hall chwilę po tym, gdy złapała bukiet rzucony przez pannę młodą, a ściślej biorąc, jego połowę, bowiem wiązanka z pąsowych i cytrynowych róż była prze-myślnie złożona z dwóch mniejszych bukietów, po jednym dla każdej z druhen.

– Teraz ty wyjdiesz za mąż – powiedziała wtedy Madeleine.

– Najpierw Maria – odparła Lucy ze śmiechem i rzeczywiście, Maria ją ubiegła.

Mimo to Lucy nie martwiła się, miała jeszcze czas i czuła się szczęśliwa. Uwielbiała miasto, lubiła swoją pracę i cieszyła się, że każdego dnia uczy się czegoś nowego. Miała liczną rodzinę, która pomagała jej

finansowo, mnóstwo przyjaciół i znajomych, słowem życie godne pozazdroszczenia.

Zgodnie ze zwyczajem, na pierwszą – papierową – rocznicę ślubu sprawiła przyjaciółce kosztowną papeterię. Opakowała ją ozdobnie, doczepiła kartkę z życzeniami i uznała, że pora się szykować. Stała przed otwartą szafą i z namysłem ściągnęła brwi. Wprawdzie Mike Donovan, mąż Jenny, uprzędał, że nie urządzają przyjęcia, a jedynie chcą się spotkać z paroma starymi znajomymi na drinka w pubie Pod Czerwonym Lwem, lecz mimo to chciała ładnie wyglądać. Tylko w co się ubrać? Letnia sukienka z białego materiału w drobny srebrny wzorek, odsłaniająca plecy i ramiona, czy jasne spodnie i ciemniejsza bluzka bez rękawów? Nagle zadzwonił telefon i Lucy z westchnieniem sięgnęła po słuchawkę.

– Cześć, kotku – oznajmił głos tchnący pewnością siebie. – Zmiana planów. Przyjadę do ciebie, zostawię samochód pod twoim domem, a do knajpy pójdziemy pieszo. Mogę się trochę spóźnić, w razie czego chwilę poczekaś.

– Przecież możemy się spotkać na miejscu, tak jak się umawialiśmy – odparła chłodno.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość. – Simon Day, młody lekarz świeżo po specjalizacji, wyraźnie nie wychwytał braku entuzjazmu w jej głosie. – Właściwie to dla nas obojga. Dostałem tę posesję w Chicago. To wielki awans.

– Simon, to wspaniale! Kiedy zaczniesz?

– Za parę miesięcy. Ale to nie wszystko. Okazuje

się, że szukają dobrych położeń. Możesz lecieć ze mną. Pojechalibyśmy jako para, dzisiaj moglibyśmy to ogłosić.

– Ogłosić?

– No wiesz, że jesteśmy razem – odparł ze zniecierpliwieniem.

Lucy zamrugwała powiekami. Oświadcza się jej przez telefon? Cały Simon, pomyślała i nagle dotarło do niej z pełną jasnością, że nie tyle nie chce lecieć z nim do Stanów, ile raczej wolałaby się z nim więcej nie spotykać.

– Simon – zaczęła łagodnie – ja nie chcę wyjeżdżać. Tutaj mam pracę, rodzinę, przyjaciół. Wrosłam w to miasto, poza tym tylko się przyjaźnimy, nie jesteśmy parą.

– Wszyscy mają nas za parę, spytaj, kogo chcesz – odparł obrażony, jak zawsze, gdy nie udawało mu się postawić na swoim.

– Jeśli tak, Simon, to tylko dlatego, że słyszeli to od ciebie. Jesteśmy na etapie poznawania się – tłumaczyła spokojnie.

– To kłótnia czy zerwanie, Lucy? Bo nie pozwolę, żebyś sobie ze mną pogrywała. – Teraz Simon był naprawdę zły.

– Ani jedno, ani tym bardziej drugie. Nie można zerwać z kimś, z kim się nigdy nie było. Simon, nie chcę z tobą lecieć do Ameryki, ale jestem pewna, że znajdziesz inną chętną.

– Jak wolisz – warknął i rozłączył się.

Odłożyła słuchawkę z westchnieniem, lecz bez wyrzutów sumienia: widocznie Simon nie jest jej

pisany, podobnie jak czwórka czy piątka innych mężczyzn, którym dała się w tym roku zaprosić na niezobowiązującą randkę. Może jest zbyt wybredna? Po namyśle odrzuciła tę możliwość. Jenny i Marie wyszły za mąż z miłości, może więc i na nią miłość czeka za progiem? Trafi na swoją drugą połowę i wszystko stanie się proste, albo będzie w dalszym ciągu cieszyć się niezależnością.

A więc spodnie czy sukienka? Chyba jednak spodnie, zawsze wygodniejsze.

Był ciepły letni wieczór, toteż zaproszeni goście wkrótce wylegli z pubu i rozsiedli się w ogródku. Lucy ucałowała jubilatów, wręczyła prezent i zaopatrzona w kieliszek białego wina, usiadła na ławce i zajęła się rozmową. Uwielbiała przebywać w gronie przyjaciół.

– Lucy, jak dobrze cię widzieć!

Zmrużyła oczy, ale na tle zachodzącego słońca wypatrzyła jedynie zarysy dwóch postaci. Johna Benneta, konsultanta oddziału ginekologiczno-położniczego, poznała po głosie, nie wiedziała jednak, kim była druga postać.

– Cześć, John, witaj na przyjęciu.

– Zanim dołączę do biesiady – odparł, przesuwając się tak, aby nie musiała patrzeć pod światło – muszę zamienić słowo z szacownymi jubilatami. To jest doktor Marc Duvallier, będzie u nas robił specjalizację. Wyświadczysz mi przysługę i zaopiekujesz się nim przez chwilę? Marc, chciałbym ci przedstawić Lucy Stephens, położną, która wraz z koleżankami

nieoficjalnie trzęsie całym oddziałem. Zaraz wracam – dodał i już go nie było.

– Bardzo mi miło panią poznać – powiedział Marc Duvallier aksamitnym głosem, delikatnie ściskając jej dłoń. – Pozwoli pani, że się dosiadę? Proszę mówić do mnie po imieniu.

Ich spojrzenia spotkały się, choć Lucy nie potrafiłaby określić, na jak długo. Nie pojmowała, co się z nią dzieje, dlaczego nie może wydobyć głosu. Wrzawa wokół nich ścichła nagle, jak gdyby znaleźli się w innym świecie, w którym jest miejsce tylko dla dwojga. Pomimo mętliku w głowie była pewna, że w jej życiu właśnie coś się zmienia.

Domyśliła się, że to Francuz, mimo iż jego angielszczyzna była nienaganna; w jego niskim głosie pobrzmiwała czasem obca nuta. Głos miał piękny, pieszczotliwy, każde słowo zdawało się obiecywać przyjaźń... albo przyjemność. Lucy pomyślała, że mogłaby go słuchać w nieskończoność, albo chociaż tylko na niego patrzeć, bo nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała równie przystojnego mężczyznę. Przyłapała się na tych zachwytach i usiłowała wrócić na ziemię: ot, atrakcyjny mężczyzna o ładnym głosie.

– Obawiam się, że wtargnąłem tu nieproszony – odezwał się Marc. – Zaczynam pracę dopiero za tydzień, ale chciałem się wszystkim przedstawić. Pan Bennet zapewniał mnie, że to tylko luźne spotkanie w gronie znajomych, okazja do poznania wielu osób, z którymi będę pracował. Można spytać, co właściwie świętujemy?

– To taka romantyczna historia, aż się łezka w oku kręci – odparła Lucy, nie mogąc zebrać myśli. – Mike Donovan... Tam stoi, widzi go pan? Otóż przed rokiem ożenił się z moją przyjaciółką Jenny, to ta kobieta, która trzyma go za rękę. Pewnego dnia rano przysięgła mu miłość, przykuta do wózka inwalidzkiego, a wieczorem przeszła operację kręgosłupa. Lekarze nie potrafili powiedzieć, czy kiedykolwiek będzie chodzić. Dlatego nawet nie chciała słyszeć o ślubie, choć Mike’owi bardzo na nim zależało. Więc przygotowaliśmy wszystko w tajemnicy. Mike oznajmił jej, że za chwilę wezmą ślub i nie miała wyjścia. Dzisiaj obchodzą pierwszą rocznicę. Cudowna historia, prawda?

– Bardzo romantyczna i, jak słyszę, ze szczęśliwym finałem, co nieczęsto się zdarza. Widzę, że twój kieliszek jest pusty. Pójdę po następny i może pogawędzimy o innych romansach? – zaproponował z uśmiechem, na widok którego serce zabiło jej szybciej.

– Nie, nie, proszę, jesteś tu gościem, Marc. Przyniosę coś dla nas obojga.

– To nasze pierwsze spotkanie. Ja pójdę, nie wypada, żebyś za mnie płaciła. Zaraz wracam – oznajmił, ucinając dyskusję.

O dziwo, Lucy nie poczuła się tym dotknięta, choć złościła się, ilekroć Simon usiłował narzucić jej swoje zdanie. Patrzyła, jak Marc przeciska się przez barwny tłum, oddychając z ulgą. Musi wziąć się w garść, bo to zaczyna być śmieszne! Ma dwadzieścia pięć lat, jest doświadczoną położną i, bez fałszywej skromności, atrakcyjną kobietą. Dobrze się czuła w męskim towa-

rzystwie, miała wielu kolegów, raz czy dwa była bliska zakochania się, jednak fascynacja, jaką wzbudził w niej Marc Duvallier, była dla niej czymś nowym i przerażającym. I nie chodziło o jego wygląd, od razu wyczuła w nim pokrewną duszę i pomyślała, że są dla siebie stworzeni. Z drugiej strony może to tylko jej wrażenie, może Marc jest żonaty!

Widziała powłóczyście spojrzenia, jakimi odprowadzały go jej znajome, i podejrzewała, że nie będzie jej dane długo cieszyć się rozmową sam na sam. I dobrze, i niedobrze, westchnęła w duchu. Zamierzała zachowywać się tak jak wobec każdego innego kolegi z pracy, życzliwie, ale spokojnie.

Miał na sobie elegancki ciemny garnitur i białą koszulę z krawatem, świadczącym zapewne o przynależności do jakiegoś klubu albo lekarskiego stowarzyszenia, raczej drogi, ale nie w tym rzecz. Nie szata zdobi człowieka. Wielu konsultantów ubierało się wytwornie, lecz mimo to nie robili na Lucy najmniejszego wrażenia. Marc nosił się elegancko, ale nie sprawiał wrażenia przebranego, i pewnie świetnie prezentowałby się nawet w łachmanach.

Włosy miał ciemne i dość długie, twarz szczupłą, o wysokich kościach policzkowych, zmysłowe usta i ciemnoszare oczy o przenikliwym spojrzeniu. Choć przesadne zachwyty nie leżały w jej charakterze, musiała przyznać, że Marc zrobił na niej olbrzymie wrażenie.

Marc wrócił do stolika i uśmiechnął się do niej, po czym upił łyček wina i zwrócił się do kelnera, który czekał z otwartą butelką.

– Znakomite, dziękuję.

Kiedy zostali sami, Marc spojrzał na Lucy.

– Wziąłem całą butelkę. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, że sam wybrałem wino. To *sancerre*, bardzo je lubię. Wino, które można kupić w barze, jest... możliwe, ale pomyślałem, że wyjątkowa okazja wymaga czegoś wyjątkowego.

– Czemu wyjątkowa? – spytała Lucy z mocno bijącym sercem. A jeśli usłyszy: „Bo poznałem ciebie”?

– Poznaję ludzi, z którymi będę pracował przez cały rok. Nowych kolegów, a z czasem może i przyjaciół. Napijesz się?

– Za twoją przyszłość. – Wzniosła toast i trąciła się z nim kieliszkiem.

– Za naszą przyszłość – poprawił.

Zapadło milczenie. Lucy rozmyślała o tym, jak cudownie zabrzmiało to słowo – „nasza” – i zastanawiała się, czy Marc myśli to samo. Czuła się przy nim jak pensjonarka i sama nie mogła się temu nadziwić.

– Nie jesteś Anglikiem, prawda? – zagadnęła w końcu. – Chociaż po angielsku mówisz bez zarzutu.

– Pochodzę z południowo-wschodniej Francji, ale matka przysłała mnie tu do szkoły, a z czasem podjąłem tutaj studia.

– Ale chyba zostaniesz u nas na stałe?

– Nie – odparł, marszcząc czoło – jestem potrzebny rodzinie we Francji. Nie mogę się doczekać powrotu. – Zdaniem Lucy, mówił bez większego przekonania w głosie.

– Czy nie jesteś trochę za stary jak na lekarza przed specjalizacją? – zapytała, bojąc się, że go urazi.

– Jak najbardziej – odparł bez cienia pretensji. – Niestety, w połowie stażu musiałem zrobić trzyletnią przerwę, żeby pomóc rodzinie. Pochlebiam sobie, że takie doświadczenie, zetknięcie się z prawdziwym życiem, czyni ze mnie lepszego lekarza.

– Na prawdziwe życie napatrzysz się w szpitalu, sam...

– Butelka wina? Pięknie się nim opiekujesz – przerwał jej ktoś wesoło. – Przykro mi, ale muszę go na chwilę porwać. Jest parę osób, którym chciałbym go przedstawić.

Lucy spojrzała na Johna Benneta, który przypro-wadził Mike'a i Jenny. O co im chodzi?

– Obawiam się, że za długo absorbowałem uwagę Lucy – odezwał się Marc. – Ale nie będę dłużej monopolizował jej towarzystwa. Z chęcią poznam moich przyszłych współpracowników. Do zobaczenia, Lucy.

– Mam taką nadzieję – odparła szczerze. – Marc, twoje wino...

– Proszę, podziel się nim z przyjaciółmi. Liczę na to, że będziemy mieli okazję jeszcze porozmawiać. Bardzo bym tego chciał – dodał i poszedł gdzieś za Mikiem.

– Chętnie skorzystam z propozycji i poczęstuje się – oznajmiła Jenny, siadając przy stoliku i napełniając swój kieliszek. – I jak ci się podoba nasz nowy pan doktor? Od razu widać, że to Francuz, prawda?

– Aha – przyznała Lucy. – Wiesz coś o nim? Jest żonaty itede?

– Nie wiem – odparła Jenny, wruszając ramionami – ale nie sądzę. Dostał służbowe mieszkanie, ale dają same kawalerki. Zresztą zapytaj go.

– No coś ty! Jeszcze pomyśli, że pytam, bo wpadł mi w oko i... – Urwała bezradnie.

– Jasne, że wpadł – odparła Jenny bezlitośnie. – Musiałabyś być chyba ślepa, żeby nie zwrócić na niego uwagi. Znam cię, Lucy. Widzę, co się z tobą dzieje.

– No, może trochę mi się podoba – przyznała Lucy – ale widziałam go raptem parę minut. Wydaje się sympatyczny, ma ładny głos i... Dobrze to wino, nie sądzisz?

– Wspaniałe – przytaknęła Jenny. – Niech ci będzie, możemy zmienić temat.

– Sama nie wiem, co mam o tym myśleć – wyznała Lucy szczerze. – Lepiej mi opowiedz, jak to jest po ślubie. Ten rok zleciał, nie wiadomo kiedy.

– Lepiej, niż sobie wymarzyłam, po prostu cudownie. Trafiłam na właściwego mężczyznę i jestem przeszczęśliwa.

– Czyli to kwestia znalezienia właściwego mężczyzny? Hm. Zapamiętam. Tylko jak poznać, że to ten właściwy?

– To się po prostu wie. – Jenny powiodła wzrokiem po twarzach rozbawionych gości, po czym zerknęła na Lucy: – Skoro już o miłości mowa, to myślisz o nim na poważnie? Widuję was razem.

Lucy podążyła za jej spojrzeniem i westchnęła na

widok Simona maszerującego w ich stronę z kieliszkiem w ręce.

– Simon to nie mężczyzna dla mnie – odparła, ścisząc głos. – Po prostu muszę mu to uświadomić. Więcej nas razem nie zobaczysz.

– Jenny, najlepsze życzenia z okazji rocznicy. Miło widzieć cię taką szczęśliwą.

– Dziękuję, Simon. Jestem szczęśliwa, bo otaczają mnie przyjaciele.

– Mam sprawę do Lucy. – Simon uznał najwyraźniej, że już spełnił swój obowiązek. – Czy mogłabyś zostawić nas samych?

– No to idę – mruknęła Jenny, wstając. – Lucy, mam ci jeszcze mnóstwo do opowiedzenia.

– To nie potrwa długo – zapewniła Lucy.

Simon dosiadł się do niej i próbował wziąć ją za rękę.

– Może to moja wina i jeśli tak, to przepraszam – zaczął wcale nie skruszony – ale chyba źle się zrozumieliśmy.

– A ja sądzę, że zrozumieliśmy się doskonale.

– Posłuchaj, to dla mnie wielka szansa. Dla nas obojga. Spodobałoby ci się w Chicago i...

– Być może, ale nigdzie się nie wybieram, i na pewno nie z tobą. Simon, już ci mówiłam, między nami wszystko skończone.

– Wcale tak nie myślisz.

Bez pytania sięgnął po butelkę. Gdy nalał sobie pół kieliszka, Lucy wyjęła mu ją z ręki i odstawiła z hukiem.

– Zostaw, to nie twoje, moje też nie – warknęła.

Simon naprawdę się rozżłościł.

– Nowa miłość na horyzoncie, to starej się mówi „cześć”. Widziałem, jak się wdzięczysz do tego Francuzika. Pielęgniarki też robią do niego słodkie oczy, patrz, jak do niego lgną, nie przymierzając, jak muchy do...

Podążyła za jego spojrzeniem i stwierdziła z przykrością, iż wokół Marca rzeczywiście kręci się gromadka wielbicielek.

– Simon, nudzisz mnie. Prawdę mówiąc, zawsze mnie nudziłeś. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Idź już. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Wpatrzył się w nią z niedowierzaniem.

– Pożałujesz tych słów – wycedził. – Żegnaj, Lucy.

Odszedł obrażony. Lucy odprowadziła go wzrokiem i westchnęła ciężko. W pewnym sensie Simon miał rację: już żałowała, że obeszła się z nim tak obcesowo, choć pocieszała się myślą, że na to zasłużył.

Przyjęcie było bardzo udane. Lucy знаła niemal wszystkich gości i cieszyła się, że nadarza się okazja do nadrobienia zaległości towarzyskich i pogadania ze znajomymi, z którymi nie widywała się na co dzień. Poplotkowała z pielęgniarkami, zaprzątniętymi osobą Marca. Przystojny Francuz wywołał prawdziwe poruszenie. Lucy zamieniła z nim jeszcze parę słów, choć już nie na osobności, a w większej grupie, jak to na przyjęciu.

Odniosła wrażenie, że Marc szuka okazji do roz-

mowy, lecz wszystkich traktował jednakowo uprzejmie. Pocieszała się myślą, że przyjechał na cały rok i okazji do zacieśnienia znajomości będzie aż za wiele.

Simon został na przyjęciu, jednak Lucy go unikała i na jego widok szybko przechodziła do innej grupki znajomych. Nie chciała z nim rozmawiać i psuć sobie humoru, tym bardziej że za kołnierz nie wylewał. Kiedy Jenny i Mike pożegnali się i wyszli, uznała, że pora wracać do domu. Kilku wytrawnych birbantów dopiero się rozkręcało, ale ona szła do pracy na ranną zmianę, ponadto świętowanie pod nieobecność jubilatów uznała za pozbawione sensu. Wypatrzyła Marcę, zajętego rozmową z Johnem, odetchnęła głęboko i podeszła się pożegnać. Na jej widok obaj wstali.

– Na mnie już pora. Nie chcę jutro mieć podkrążonych oczu – powiedziała z uśmiechem. – Marc, miło było cię poznać. Mam nadzieję, że będzie ci się z nami dobrze pracowało.

– Jeśli na oddziale zostanę przyjęty równie ciepło jak tutaj, to będę szczęśliwy. Lucy, mnie także było bardzo miło cię poznać.

Ściskając jej dłoń, delikatnie musnął palcem wierzch jej ręki, choć nie umiała określić, czy ten pieszczotliwy gest był zamierzony.

– Ciebie też było dobrze zobaczyć, John – dodała, obejmując go po przyjacielsku.

– Muszę mieć swoich podopiecznych na oku. – John uśmiechnął się szelmowsko. – Uchowaj Bóg, żeby bawili się beze mnie! Dobranoc, Lucy.

Chętnie zostałyby jeszcze chwilę, ale nie wymyśliła

żadnego pretekstu. Zerknęła na Marca, odwróciła się na pięcie i odeszła. Żałowała, że nic o nim nie wie: może jest żonaty albo chociaż zaręczony, może ona nie jest w jego typie. Niemniej widziała błysk, który pojawiał się w jego oczach, gdy na nią patrzył, i raptem świat zaczął się jej przedstawiać w różowych barwach – do chwili, gdy Simon zawołał, by na niego poczekała.

– Musimy sobie coś wyjaśnić, Lucy – wybełkotał, próbując złapać ją za ramię. – Zbyt wiele dla siebie znaczymy, żeby nas poróżniło takie głupstwo.

– Nie ma żadnego „my”. – Uchyliła się. – Simon, jesteś pijany, powinieneś się przespać.

– Może i jestem pijany, ale wiem, czego chcę, czego ty chcesz. Odprowadzę cię, zrobisz mi kawy, a potem pogadamy...

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Panna Stephens zgodziła się, żebym odprowadził ją do domu.

Lucy obejrzała się ze zdumieniem. Marc? Cieszyła się, że tu jest, a równocześnie było jej przykro, że stał się świadkiem scysji z Simonem.

– Pierwsze słyszę! I jakoś panu nie wierzę. Chcesz pan tylko...

Lucy podeszła do Marca i wzięła go pod rękę.

– Na przyjęciu nie było okazji, a mamy tyle spraw do omówienia. – Spojrzała na Simona. – Więc wybacz, ale już się pożegnamy.

– Ale ja muszę...

– Do widzenia, doktorze Day. – Marc mówił cicho i bez emocji, jednak w jego głosie pobrzmiwała

groźba. – Pora na pana. Zresztą, o ile mi wiadomo, panna Stephens miała dzisiaj dyżur i na pewno jest zmęczona.

Simon zgarbił się i kurczowo zacisnął pięści, ale nie ruszył się z miejsca.

– Dobranoc, Simonie – powiedziała i delikatnie pociągnęła Marca za rękę.

– Może nie powinienem się wtrącać – odezwał się Marc, kiedy Simon znikł im z oczu – ale widziałem, że idzie za tobą i domyślałem się, że może być nieco... natarczywy, więc i ja poszedłem. Tak na wszelki wypadek.

– Dałabym sobie radę – odparła Lucy – ale dziękuję za pomoc. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Drobiazg. Nie sądzę, żeby doktor Day jeszcze ci się naprzykrzał. Jesteś bezpieczna, ale może mimo wszystko pozwolisz, żebym eskortował cię do domu?

Czasami jego sposób mówienia wydawał jej się nieco archaiczny i dopiero wtedy przypominała sobie, że rozmawia z Francuzem, lecz uważała, że to tylko dodaje mu uroku. Zachowywał się z kurtuazją, której niekiedy brakowało jej znajomym, i traktował ją jak damę.

– Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli mnie odprowadzisz – zapewniła szczerze. – Jak sam zauważyłeś, doktor Day nie będzie się już nikomu narzucał, ale chciałabym z tobą porozmawiać.

– Cieszę się. – Milczał chwilę. – Doktor Day jest twoim... bliskim przyjacielem?

– Liczył, że nim zostanie. Byliśmy na paru randkach, ale dzisiaj mu zapowiedziałam, że to koniec.

Próbował mną rządzić, a ja nie pozwolę, żeby ktoś decydował o mojej przyszłości. Poza tym nie lubię pijaków.

– Ja też nie – wyznał Marc.

Przez moment spacerowali w zupełnej ciszy. Lucy bała się odezwać. Marc bardzo jej się podobał, ale w końcu to cudzoziemiec i nie umiała go rozszyfrować, nie wiedziała, co myśli ani czego od niej oczekuje. Czyniło go to jeszcze bardziej atrakcyjnym, lecz zarazem ją onieśmiało.

– Ładny wisiorek – odezwał się po chwili. – A ten napis?

Pogładziła złotą przywieszkę na cienkim łańcuszku.

– Dostałam go od rodziców na moje dwudzieste pierwsze urodziny. A napis jest po łacinie: *Amor vincit omnia*.

– Miłość wszystko przewycięży – przetłumaczył. – Wierzysz w to?

– Tak – przyznała cicho. – Ty nie?

– Raczej tak, ale jest wiele rodzajów miłości.

Przystanąli przed frontowymi drzwiami, Lucy zaś rozmyślała gorączkowo: jeśli zaprosi go do siebie, gotów ją uznać za zbyt bezpośrednią, jeśli tego nie zrobi, za nazbyt oficjalną. Na szczęście Marc wybił ją z opresji.

– Poczekam, aż bezpiecznie wejdiesz do środka – powiedział. – Dziękuję za spacer i za rozmowę, cieszę się, że będziemy się widywać w pracy. Miałem pewne obawy co do wyjazdu, dobrze wiedzieć, że znalazłem choć jedną życzliwą duszę.

Żegnając się, o sekundę za długo przytrzymał jej

dłoń, ale kto wie, może we Francji panuje taki zwyczaj?

– Tak, tak, przyjazną duszę – wytrajkotała nerwowo. – Do zobaczenia za kilka godzin. Dobranoc, Marc.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, padła na łóżko, żałując, że jej nie pocałował, ale natychmiast przywołała się do porządku. Wiele się dziś wydarzyło i musi na spokojnie wszystko sobie przemyśleć. Co dziwne, nie czuła się zmęczona, choć właściwie powinna. Idąc na przyjęcie, chciała się tylko dobrze bawić, nie spodziewała się, że wróci z niego zakochana w dopiero co poznanym mężczyźnie.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wzięła prysznic, wypła herbatę, ale w dalszym ciągu nie chciało jej się spać. Spojrzała na miniaturową czerwoną różę ustawioną na parapecie okiennym, przestawiła ją na stół i zaczęła zeskubywać zeschnięte liście. Nagle przypomniała sobie, jak wróżyła sobie jako mała dziewczynka.

– Kocha, nie kocha – wymruczała, zrywając kolejne listki. – Kocha... nie kocha!

A to pech. Przyjrzała się posępnie róży pozbawionej ostatniego uschniętego liścia i z wahaniem urwała jeszcze jeden, zdrowy i zielony. Zakłęła, kalecząc się o cierń, i przytknęła palec do ust, niezmiernie zadowolona z siebie. Cóż, miłość wymaga poświęceń.

Wracając do domu, Marc usiłował poukładać sobie wszystko w głowie. Wprawdzie był trochę zestresowany – jak każdy, kto podejmuje nową pracę – ale też wiedział, że poznawanie nowych ludzi, zwyczajów

i miejsc daje wielką satysfakcję. Nie przewidział jedynie, że na horyzoncie pojawi się Lucy. Zachwyciła go od pierwszej chwili, i to nie tylko urodą – choć jej smukłe ciało, twarz o pięknych rysach i olbrzymie szare oczy natychmiast przykuwały uwagę. Była żywiołowa i czuło się, że jest szczęśliwa, przebywając z przyjaciółmi, a to wielka zaleta.

Zaiskrzyło między nimi od razu i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Pytanie brzmiało raczej, co z tym fantem począć. Chciał się z nią spotykać, ale był świadom, że nie jest panem swojego losu. Podejrzewał, że Lucy oczekiwałaby pełnego oddania z jego strony, a tego zaferować jej nie mógł. Zraniłby ją tylko albo sam by cierpiał.

Zaklął bezgłośnie, oczywiście po francusku – żaden inny język tak wiernie nie oddałby stanu jego uczuć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wczesnym rankiem Lucy pojechała do szpitala. Od pewnego czasu pracowała na oddziale prenatalnym, co jej nawet odpowiadało. Zawsze przebywało na nim kilka przyszłych matek, które wolały spędzić noc w szpitalu, na wypadek gdyby zaczęły rodzić, jednak większość pacjentek stanowiły kobiety, u których występowały jakieś komplikacje: ciąża mnoga, przodujące łożysko, stan przedrzucawkowy, wieloczy małowodzie. Z reguły wszystko kończyło się dobrze, ale wiadomo, że różnie w życiu bywa.

Weszła do pokoju pielęgniarek, gdzie szefowa zmiany, siostra Melissa Spain, właśnie tłumaczyła coś... Marcowi Duvallierowi. W fartuchu wyglądała równie pociągająco jak w garniturze, pomyślała Lucy, bezwiednie poprawiając włosy splecione w ciasny warkocz. Przyglądała uniform, zła, że rano nie zadbała o makijaż.

Tylko co tu właściwie robi Marc? Przecież nie obejmie rannej zmiany po Melissie? I dlaczego wszystkie położne i pielęgniarki tak się na niego gapią?

– Chciałabym wam przedstawić doktora Duvaliera – odezwała się Melissa. – Będzie u nas robił specjalizację. Oficjalnie zaczyna za parę dni, ale John zaproponował, żeby rozejrzał się trochę po oddziale, poznał nas i zobaczył, jak się tu pracuje.

Kiedy Marc wstał, żeńska część personelu wyraźnie się ożywiła.

– Cieszę się, że będę z paniami współpracował. Chcę się od was uczyć. Zawsze twierdziłem, że lekarze i położne odgrywają równie ważne role, są dwiema stronami tej samej monety.

To dobrze, pomyślała Lucy z roztargnieniem. Była pewna, że ją zauważył, ale nie dał tego po sobie poznać. I też dobrze. Dopiero po przekazaniu zmiany, kiedy inne położne już wyszły, posłał jej uśmiech, który był niczym obietnica, tak iż podążyła za koleżankami bardziej sprężystym niż zwykle krokiem.

Poszła zbadać pacjentkę z cukrzycą i zagrażającym nadciśnieniem. Akurat kończyła wypełniać jej kartę, gdy do sali zajrzała Melissa i rzuciła od progu:

– Zaraz przewiozą do nas pacjentkę z ratunkowego, zajmiesz się nią, Lucy? Trzydziesty tydzień ciąży, wpadła pod samochód, ale podobno skończyło się szczęśliwie. Połatali ją i przysyłają do nas na obserwację.

– Nie ma problemu, jest wolne łóżko. – Tempo, w jakim oddział ratunkowy pozbywa się ciężarnych, przeszło już do legendy. – A poza tym? Powinnam o czymś wiedzieć?

– Słyszałam, że słabo zna angielski.

Lucy czekała przy wejściu. Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzała siedzącą na szpitalnym wózku młodą kobietę, właściwie jeszcze dziewczynę. Nie wyglądała na więcej niż dziewiętnaście lat, była blada jak płótno, nad policzkiem miała wielki siniec, od kącika oka ciągnął się rzudek szwów.

– Witam, nazywam się Lucy Stephens i jestem

położną. Postaram się, żebyś dobrze się u nas czuła, ty i twoje dziecko. Jak ci na imię?

– Mi imię... Astrid.

Pielęgniarka, która ją przywiozła, podała Lucy jej dokumentację.

– Astrid jest Francuzką – wyjaśniła, po czym przysunęła się do Lucy i szepnęła: – Nie można się z nią dogadać. Albo nic nie rozumie, albo udaje, że nic nie rozumie. Głównie milczy.

– Poradzimy sobie – odparła pogodnie Lucy. – Nie wiem jak, ale jakoś damy sobie radę.

Pomogła dziewczynie położyć się i podłączyła aparaturę.

– Zobaczmy, jak się ma twoje dziecko.

Astrid podniosła na nią przerażone oczy, ale się nie odezwała. Widząc, że dziewczyna nie nosi obrączki, Lucy spytała:

– Możemy się jakoś skontaktować z ojcem dziecka? Z twoją rodziną?

Astrid najwyraźniej zrozumiała tylko ostatnie słowo.

– Rodzina... *famille*? Nie! – Potrząsnęła głową i z bólu aż przymknęła oczy. – Nie mieć *famille*.

Lucy poddała się. Zbadała ciężarną, sporządzając notatki, następnie przejrzała te przekazane przez pielęgniarkę z oddziału ratunkowego: powierzchowne otarcia naskórka, rozcięcie skóry głowy, brak objawów wstrząśnienia mózgu. Zalecenia: dwudziestoczerogodzinną obserwacją. Gdyby Astrid nie była w ciąży, najpewniej zostałaby od razu wypisana ze szpitala.

– Naprawdę nie ma nikogo, kogo moglibyśmy

zawiadomić, że tu jesteś? – spytała Lucy, starając się mówić powoli i wyraźnie.

Astrid rzuciła jej tylko wystraszone spojrzenie. Lucy uśmiechnęła się i poklepała ją po ręce.

– Chyba znam kogoś, kto nam pomoże. Zaraz wracam.

Poszła prosto do pokoju pielęgniarek i zapukała do drzwi. Otworzyła jej wyraźnie niezadowolona Melissa.

– Potrzebuję kogoś, kto mówi po francusku – wyjaśniła Lucy. – Mam pacjentkę, która nie zna angielskiego, a coś mi się wydaje, że wpakowała się w jakieś kłopoty.

– To może ja? – wtrącił męski głos z głębi pokoju. – Oczywiście jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, panno Stephens.

– Ja też się przejdę – oznajmiła Melissa, wychodząc na korytarz.

– Nie ma takiej potrzeby, Melisso – zapewnił Marc, wyłaniając się zza jej pleców. – Takie zbiegowisko przy łóżku pacjentki tylko ją przestraszy. Może wystarczą dwie osoby? Pójdę z panną Stephens.

– Jak uważasz, Marc... To jest, doktorze Duvallier.

No proszę, na nieugiętej siostrze Spain także zrobił duże wrażenie, stwierdziła Lucy kwaśno. Prowadząc go na oddział, szybko referowała sytuację:

– Co do stanu jej zdrowia właściwie nie mam zastrzeżeń. Spokojnie moglibyśmy ją wypisać jutro rano po wizycie specjalisty. Podała adres mieszkania w dzielnicy studenckiej, pewnie jakiejś kawalerki, ale legitymacji studenckiej oczywiście nie ma. Była nieprzytomna, kiedy przywieziono ją na ratunkowy. Pie-

lęgniarki przejrzały jej torebkę, ale nie znalazły żadnych dokumentów. Ani kart kredytowych, ani paszportu, nic, co pozwalałoby określić jej tożsamość. Tylko pięćdziesiąt funtów i trochę drobnych.

Przy Marcu Astrid zmieniała się nie do poznania. Czy to z powodu wesołego uśmiechu, który jej posłał, czy też łagodnych słów wypowiedzianych w jej ojczystym języku, uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd tu trafiła. Lucy co prawda uczyła się kiedyś francuskiego, lecz rozumiała piąte przez dziesiąte.

W końcu Marc umilkł, patrząc na Astrid wyczekująco, ale nie doczekał się odpowiedzi. Powtórzył pytanie i dopiero wtedy dziewczyna odezwała się powoli. Marc delikatnie oparł dłoń na jej ramieniu.

– Mogłabyś przynieść Astrid trochę soku, Lucy?
– poprosił cicho.

Wyszła, rozmyślając o tym, jak szybko zawojował tę dziewczynę stanowczością i łagodnością zarazem, oraz o tym, jak się zmienia, gdy przechodzi na francuski, żywiej gestykuje, zdaje się mówić całym swoim ciałem. Kiedy wróciła, Marc i Astrid byli zatopieni w rozmowie. Spojrzeli na nią tak, że poczuła się jak intruz.

– Zostawię was samych – powiedziała chłodno.
– Doktorze Duvallier, chciałabym później zamienić z panem słowo, jeśli można.

Odszukał ją po niecałych dziesięciu minutach.

– Astrid Duplessis – zaczął. – Dziewiętnaście lat, pochodzi z małego miasteczka w Bretanii. Jakies siedem miesięcy temu, tuż po Bożym Narodzeniu, poznała studenta z Anglii. Mieszkał w schronisku

młodzieżowym w jej mieście, uczył się francuskiego. Zakochali się w sobie. O wszystkim dowiedzieli się jej rodzice, najwyraźniej bardzo religijni i konserwatywni. Nie byli zadowoleni. Astrid jest jedynaczką. Wysłali ją na miesiąc do krewnych na drugim końcu kraju, nie mogła się nawet pożegnać z tym chłopakiem. Wyjechał przed jej powrotem.

– Czyli wtedy miała osiemnaście lat? Pewnie we Francji rodzice mają znacznie więcej do powiedzenia niż u nas.

Wzruszył ramionami.

– Francja to duży kraj. Niektóre dystrykty są oddalone od wielkich miast, panują tam inne zwyczaje. Wiem, bo... – Potrzęsnał głową, nagle rozdrażniony, i szybko zmienił temat: – W każdym razie ona nie chce wracać do rodziców. Ma swoją dumę.

– Dumą dziecka nie nakarmi. Jak tu dotarła?

– Jakimś cudem wmówiła rodzicom, że jedzie na kurs. Nie śmiała powiedzieć o ciąży, wiedziała, jak by zareagowali i co by się stało z jej opinią. Szukała tego chłopaka, ale nie zna jego adresu ani nawet nazwiska. Zna tylko imię. Kevin. I ma ciemne włosy.

– Ciemne włosy, Kevin, być może student – podsumowała Lucy. – No to pięknie. Pole poszukiwań zawęży się nam do raptem dwóch czy trzech tysięcy osób. Zresztą szczerze wątpię, czy on chce zostać odnaleziony.

Nie przemawiał przez nią cynizm, po prostu spotkała się z wieloma podobnymi przypadkami.

– Niekoniecznie, Lucy! Ten Kevin wcale nie chciał się z nią rozstawać, wszystko stało się, zanim zdążyła

mu powiedzieć o dziecku. Pewnie jest przekonany, że go nie chciała. A ona twierdzi, że ten chłopak ją kocha!

– Historia stara jak świat – mruknęła Lucy.

Za późno ugryzła się w język: Marc usłyszał ten złośliwy komentarz.

– Obyś to słyszała jeszcze nieraz i oby za każdym razem była to prawda – powiedział, poważniejąc.

– Może i masz rację – skapitulowała. – Po prostu... często trafiają do nas dziewczyny, które święcie wierzą, że kochają i są kochane, a potem zostają na lodzie.

– Zgadnam się z tobą – przyznał. – Ojcostwo, nawet z przypadku, wiąże się z obowiązkami. Ale obowiązek to rzecz święta!

Lucy spojrzała na niego, zaskoczona jego tonem.

– Widzę, że oboje podchodzimy do tego równie serio.

– Cieszę się. Życie to nie same przyjemności.

– Możemy tylko trzymać kciuki, żeby wszystko skończyło się dobrze – powiedziała – nawet jeśli nie wydaje się to zbyt prawdopodobne. No to co poczyniemy w sprawie Astrid?

– Ty tu rządysz. Jeśli to możliwe, chciałbym ją odwiedzić jutro rano.

– Tylko mi ułatwiesz pracę.

Później jeszcze kilkakrotnie wpadali na siebie, ale jakoś nie było okazji do rozmowy. Nadarzyła się dopiero o wpół do drugiej po południu, tuż przed końcem zmiany.

– Lucy, rozumiem, że powoli zbierasz się do domu. Jutro będziesz o tej samej porze? – spytał.

– Tak, znowu mam ranną zmianę. Ty też się pojawisz?

– Żałuję, ale nie. Dziś po południu mam kurs i będę zajęty do późna. Za to w sobotę, czyli jutro, mam wolne popołudnie. Pomyślałem, że... może byłabyś tak miła i pokazała mi miasto? Słyszałem, jak je lubisz, a ja czuję się tu trochę obco. Może później poszlibyśmy na kolację.

– Marc, bardzo bym chciała, ale umówiłam się z siostrami – odparła z autentycznym żalem. – Planujemy piknik w parku i przyjęcie urodzinowe dla dzieciaków. Mój siostrzeniec Dominic ma sześć lat i bzika na punkcie pociągów, a w parku jest kolejka.

Wzruszył ramionami, patrząc na nią z uśmiechem.

– Nie chciałbym psuć Dominicowi przyjęcia. Nieważne. Może kiedy indziej.

– Za to wieczór mam wolny – dodała nieśmiało.

– Znakomicie! – odparł z radością. – To może przyjdę po ciebie jutro około szóstej?

Pomyślała o znajomych ze szpitala, które mieszkały w tym samym budynku, i pokręciła głową.

– Nie, zaraz zahuczałoby od plotek.

– Nie chcesz, żeby o tobie plotkowano? – spytał z uśmiechem.

Sposób, w jaki na nią patrzył, ton jego głosu, kompletnie ją rozbrajały, ale wołała być przezorna.

– Ja po ciebie przyjadę, mieszkasz w znacznie dyskretniejszej okolicy. – Urwała na chwilę. – Chyba nie masz nic przeciwko kobiecie za kierownicą?

– Skądże – zapewnił. – Jesteś dobrym kierowcą?

– W ogóle jestem cudowna – zaśmiała się Lucy,

a potem usłyszała, że jedna z pacjentek płacze, i pobiegła się nią zająć.

Marc wyszedł, zanim skończyła się jej zmiana. Mimo to, gdy wracała do domu, serce się w niej rozśpiewało. Marc zaprosił ją na randkę, kto wie, może coś z tego będzie? Zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na ogołoconą z liści miniaturową różę. O dziwo, wydawała się kwitnąć bujniej niż kiedykolwiek.

W pracy czekała na nią niemiła niespodzianka. Równie rozczarowana siostra Spain przekazała jej wiadomość od Marca: doktor Duvallier przeprasza, ale dzisiaj nie zdoła odwiedzić Astrid, może innym razem. Lucy pocieszyła się myślą, że zobaczą się wieczorem. Na popołudnie umówiła się z dwiema starszymi siostrami, Jan i Lizzy, oraz sześciorgiem siostrzeńców. Dominic miał urodziny i zażyczył sobie przejażdżkę kolejką oraz piknik.

Zapakowała prezent dla siostrzeńca, przygotowała całe pudło kanapek i ruszyła do parku mieszczącego się raptem parę kilometrów od jej domu. Pogoda na szczęście dopisała, choć oczywiście opracowały z siostrami plan awaryjny na wypadek deszczu. Przywitała się i dała się wciągnąć do zabawy w kółko graniaste. Śmiechu przy tym, jak zawsze, było co niemiara, a kiedy wszyscy się zmęczyli, usiedli i wzięli się za jedzenie.

Lucy siedziała na kocu, oparta plecami o pień drzewa, z ręcznikiem rozłożonym na kolanach, i karmiła butelką półroczną Frances. Nagle Lizzie szepnęła:

– Spójrz na tego faceta. Ale przystojny! – Zakrzuszyła się i dodała: – Chryste, idzie tutaj! Znasz go?

Lucy podniosła wzrok i ujrzała Marca Duvalliera. Elegancki, tym razem w jasnych bawełnianych spodniach i ciemnoniebieskiej koszulce polo.

Podszedł z niepewną miną.

– Najmocniej cię przepraszam – powiedział, patrząc na Lucy. – Wiem, że się narzucam, ale słońce świeci, nie mam akurat innych zajęć, a ty wspominałaś o parku, więc poszedłem na spacer.

– I dobrze zrobiłeś, bardzo się cieszę – odparła zgodnie z prawdą. – Posłuchaj, nie mogę teraz wstać ani nawet swobodnie rozmawiać, dopóki Frances nie zaśnie, ale przecież są tutaj moje siostry, Lizzie i Jan, z dzieciarnią.

– Bardzo mi przyjemnie panie poznać.

– Niech pan siada i poczęstuje się kanapką – zaproponowała Lizzie.

Zwracał się głównie do niej, Jan albo do któregoś z dzieci. Lucy trochę żałowała, że jest taki taktowny, ale wystarczyło jej, że może przyglądać mu się z boku. Zachowywał się wprost czarująco, z uwagą słuchał opowieści Lizzie o tym, jak zżytą tworzą rodzinę i jak często się odwiedzają, choć o swojej nawet nie wspominał.

– Powinienem coś wyznać – stwierdził w końcu. – Będziemy z Lucy współpracować i jestem pewny, że wiele się od niej nauczę. Pomyślałem, że spróbuję wkraść się w łaski jej rodziny.

Wyjął z kieszeni niewielką paczuszkę.

– Lucy pokazała mi listę lokomotyw z kolekcji

Dominica. Jeśli panie nie mają nic przeciwko temu, chciałbym mu to dać. Ot, taki mały prezent.

Dominic był w siódmym niebie.

– To może przejedziemy się tą kolejką? – spytała Jan. – Lucy, zostaniesz z Frances? Wolałabym jej nie budzić. Chyba że chcesz się przejechać?

– Ja już dość się najeździłam – odparła Lucy.

– Aż miło na was patrzeć – rzekł z uśmiechem, gdy pozostali już poszli. – Taka... szczęśliwa rodzina.

– Czemu właściwie przyszedłeś?

– Z twojego powodu – wyznał otwarcie. – Widziałem cię w pracy, widziałem na przyjęciu, chciałem cię zobaczyć z rodziną. I zawsze jesteś jednakowo pociągająca.

– Rozumiem – odparła Lucy, zachodząc w głowę, co właściwie miał na myśli.

Kiedy Frances była nakarmiona, Lucy obróciła ją delikatnie na brzusek i masowała plecy.

– Widać, że masz w tym wprawę – zauważył Marc. – Mogę spróbować?

– Tylko ostrożnie – poprosiła Lucy, podając mu dziecko. – Połóż sobie ręcznik na kolanach, bo mała jest trochę niespokojna i...

Za późno: dziecko czknęło, a potem zwymiotowało Marcowi na koszulkę.

– Powinienem być cię posłuchać – stwierdził ze spokojem.

Lucy spojrzała ze zgrozą na poplamione poło, później na Frances, której wyraźnie ulżyło, potem na ręcznik na własnych kolanach, w końcu zaś na twarz Marca. Nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

– No to już wiesz, na co się narażają położne, pielęgniarki i matki – oznajmiła wesoło.

– Miałem pewne wyobrażenie. Nieważne, zdarza się. Masz jakieś chusteczki? Ubrudziła się na buzi.

– Zaraz ją wytę, tobie chyba starczy atrakcji. – Położyła Frances na czystym ręczniku i sięgnęła po torbę z ubrankami na zmianę. – A teraz ściągaj tę koszulę, pójdę ją przepłukać.

Ostrożnie zdjął koszulkę przez głowę. Lucy zerknęła na jego tors i szybko uciekła spojrzeniem w bok. Wiedziała, że ma wspaniałe ciało! Ani grama tłuszczu, umięśnione ramiona... Ach, znaleźć się w nich choć na chwilę!

– Nie widzę powodów, żebyś prała moje rzeczy. – Wstał z koca. – Tylu tutaj panów w samych spodniach, że raczej nie będę rzucał się w oczy. Pójdę to przepłukać.

– Dobrze – przytaknęła Lucy. – Marc, przepraszam za Frances i za to, że się z ciebie śmiałam.

Pochylił się na dzieckiem i pogłaskał je po policzku.

– Nic nie szkodzi. Ale przed naszym spotkaniem na pewno wezmę prysznic. Nie chciałabyś, żeby twój towarzysz pachniał...

– Obawiam się, że mnie też to grozi – odparła wesoło.

Kiedy wróciła reszta towarzystwa, Marc zerwał się z koca. Lizzie i Jan bezwstydnie podziwiali jego nagi tors.

– Wracam i zastaję półnagiego mężczyznę. Co się tutaj działo? – spytała rozbawiona Lizzie.

– Mały incydent – wyjaśnił Marc. – Nic poważnego. Jak przejazdówka, Dominic?

– Czad – odparł chłopiec, który nie należał do gadatliwych.

– To dobrze. Cóż, trochę się zasiedziałem. Lizzie, Jan, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Lucy, do zobaczenia!

– Pójdziemy na spacer – odparła Lucy i w przypływie odwagi dodała: – *Á bientôt*, Marc!

Uniósł brwi, odwrócił się i odszedł.

– Jest fantastyczny! – uznała Jan, odprowadzając go wzrokiem. – Zabierze cię do Francji, Lucy? Fajnie jest mieszkać blisko, ale miałybyśmy gdzie jeździć na wakacje.

– Nie wygłupiaj się. Znam go raptem dwa dni.

– Czasem wystarczy jedno spotkanie, żeby wiedzieć, że ktoś jest dla ciebie stworzony – odparła Lizzie z uśmiechem. – Ja wiedziałam. Zdaje się, że jesteście umówieni na wieczór?

– On też za tobą szaleje – poparła siostrę Jan. – Aż mu oczy świeciły. Ale...

– Ale co? – spytała Lizzie.

– Kiedy opowiadałyśmy o naszej rodzinie, wydawał się smutny. No, może zamyślony. Tak czy inaczej, to fantastyczny facet.

Lucy wykąpała się, wysuszyła włosy i włożyła najelegantszą bieliznę, jaką miała, po czym z namysłem przejrzała swoją garderobę. Wybór był trudny, bo też po raz pierwszy tak bardzo jej zależało na wyglądzie. Z reguły łapała pierwszy ciuch, jaki nawinał

się jej pod rękę, a jeśli efekt nie był zachwycający, to co z tego? Jednak to było, zanim poznała Marca.

Mają iść na spacer, więc przydałyby się wygodne buty, no, w miarę wygodne, bowiem była mowa o kolacji, muszą zatem być eleganckie. Wyjęła z szafy jasny lniany kostium, w którym było jej do twarzy, i płaszcz w stylu wojskowym. W staniku z fiszbinami i w koronkowych majteczkach stanęła przed lustrem, aby przećwiczyć zniewalający uśmiech. Gdyby Marc mógł ją teraz zobaczyć!

Mieszkał w położonym niedaleko od jej domu niewysokim budynku, mieszczącym zaledwie cztery mieszkania. Musiał chyba wyglądać przez okno, bowiem znalazł się na dole, zanim Lucy doszła do drzwi wejściowych.

– Lucy! Cudownie, że już jesteś! Pozwól, że na chwilę przejdę na francuski. *Chérie, tu es si belle!*

– Moja droga, jesteś taka piękna – przetłumaczyła sobie Lucy. – Marc, to najmiłsze powitanie w moim życiu.

– Cieszę się. – Odsunął się, gestem zapraszając ją do środka. – Muszę tylko wrócić po płaszcz. Może jesteś ciekawa, w jakim bałaganie teraz żyję. Ale z czasem zaprowadzę tu porządek.

Wiedziała, jak wyglądają służbowe mieszkania – skromne, z tanimi meblami i urządzone bez gustu. Zajrzała do kuchni, salonu i sypialni, po czym zawiesiła wzrok na walizkach i tekturowych pudłach w holu.

– Jeszcze poczekam z rozpakowywaniem się – wyjaśnił Marc. – Tak tu ponuro, że chyba wpadłbym w depresję. Jeśli trafią mi się ze dwa dni wolnego, to

pomaluję ściany na jakiś weselszy kolor i kupię parę bibelotów, żeby to mieszkanie zaczęło przypominać dom.

– Pomogę ci – powiedziała bez namysłu.

– Byłbym szczęśliwy. Wniosłabyś tu trochę życia – odparł, nagle poważniejąc, po czym szybko zmienił temat: – Dokąd mnie zabierasz, Lucy?

– Dokąd tylko zechcesz.

Oczy mu zabłyśły, lecz nie odpowiedział. Lucy obserwowała w milczeniu, jak się ubierał. Śnieżnobiała koszula rozpięta pod szyją, jasnobezowe spodnie, ciemnoniebieski lniany płaszcz. Wygląda bosko!

– *Chérie, tu es...* – zamilkła. – Miałam tróję z francuskiego, więc niełatwo mi to idzie. Mam! *Chérie, tu es beau!*

– Zachowam ten komplement w pamięci – odparł i dwornie ucałował jej dłoń. – Mówisz: dokąd zechcę? W moich rodzinnych stronach są tylko góry i wodospady, więc może poszlibyśmy nad rzekę? Nad prawdziwą rzekę, z łodziami i widokiem morza hen, daleko?

– Znam idealne miejsce – oznajmiła.

Zostawili samochód niedaleko szpitala i poszli na spacer wzdłuż brzegu rzeki. W srebrzystej wodzie odbijał się gmach rafinerii, w dali widać było walijskie wzgórza.

– Ładnie tu – zauważył Marc. – Tyle zieleni tak blisko centrum miasta.

– Kiedyś nazywano to miejsce Żeliwnym Nabrzeżem – wyjaśniła. – Potem było tu wysypisko śmieci, aż wreszcie władze miasta uznały, że potrzebne są tereny rekreacyjne i teraz jest tu prześlicznie.

– Skinęła ręką w kierunku rzeki. – To miejsce to żywa historia. Sto lat temu mieścił się tutaj najruchliwszy port świata, a teraz...

– Wszystko się zmienia, wiele rzeczy na lepsze. Ale cieszymy się zamiast filozofować. Opowiedz mi o swojej rodzinie, Lucy. Jestem nią zachwycony. I tym, jak dobrze radzisz sobie z dziećmi.

– Kocham moją rodzinę i kocham dzieci.

– To czemu nie masz własnych?

Uśmiechnęła się wesoło.

– Mam czas, jestem jeszcze młoda. Chcę mieć czwórkę, ale najpierw muszę znaleźć odpowiedniego mężczyznę.

– A jaki byłby odpowiedni? Zaczęłaś się już rozglądać?

– Nie koncentruję się wyłącznie na szukaniu mężczyzny, życie jest na to zbyt cenne i zbyt krótko trwa. Ale kiedy go spotkam, będę wiedziała, że to ten.

– Jaki powinien być? Wysoki czy niski? Brunet czy blondyn? Lekarz, nauczyciel, biznesmen, artysta?

– To bez znaczenia – odparła bez wahania. – Będzie mężczyzną, któremu będę chciała urodzić dzieci.

– On też będzie wiedział, że trafił na tę jedną jedyną?

– Oby. Inaczej znajdę się w kropce.

– Romantyczka z ciebie.

– Zapewne – przyznała po chwili. – Na pewno widziałeś kobietę, która po raz pierwszy bierze w ramiona nowo narodzone dziecko, ten nagły przyptyw macierzyńskiej miłości. To uczucie jest takie nowe

i tak intensywne, że aż przeraża, dlatego kobiety tak często wtedy płaczą. I to jest miłość, o jakiej marzę.

– Widziałem, to wzruszające, ale to tylko hormony.

– Nieprawda! – Po namyśle dodała: – Niech ci będzie, że hormony, ale nie wyłącznie. To coś, co wypływa z wewnątrz...

Podeszła do barierki, oparła się o nią i wpatrzyła w tankowiec płynący wolno w górę rzeki.

– Po co ja ci to wszystko mówię? Zwykle nie gadam od rzeczy.

– Może dlatego, że tak bardzo się od siebie różnimy, a przeciwieństwa się przyciągają. I nie mówisz od rzeczy. To było prawdziwe i piękne.

Wziął ją za rękę i ruszył dalej.

– Nic o tobie nie wiem – powiedziała.

– Pytaj, o co tylko chcesz, Lucy. Jeśli będę mógł, odpowiem, jeśli nie, otwarcie się do tego przyznam.

– Po pierwsze, ile masz lat? – spytała, zastanawiając się nad tą dziwną odpowiedzią.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Dlaczego nie jesteś żonaty, zaręczony, nie czeka na ciebie żadna kobieta? – Tknięta pewną myślą, dodała: – Bo zakładam, że takowej nie ma?

– I słusznie.

– No to jakim cudem się uchowałeś?

– Wiesz, jak to jest, kiedy się pracuje w szpitalu. – Wzruszył ramionami. – Za to przyznaję się bez bicia, że zdarzały mi się romanse, ale raczej krótkotrwałe. Rozstawaliśmy się, ale mam nadzieję, bez żalu.

– Ze mną było podobnie – odparła. – Cierpiełeś?

– Może trochę – przyznał po namyśle. – Chociaż

parę moich byłych do tej pory przysłała mi życzenia na święta.

– Mówiłeś „raczej krótkotrwałe”. Był jakiś wyjątek? Kobieta, która mogła się okazać miłością twojego życia?

– Może jedna. – Westchnął. – Ma na imię Genevieve, jest lekarką, trochę starsza ode mnie. Łudziłem się, że coś może z tego być, ale znaleźliśmy się w impasie. Może i dobrze się stało, że dostała propozycję pracy w Australii. Rozstaliśmy się, a ona niedawno wyszła za mąż.

– Aż dziw, że tak lekko o tym mówisz – stwierdziła Lucy, zmieniając temat, choć skręcało ją z ciekawości. – Ja tak bym nie mogła. Nie masz czasem wrażenia, że coś cię omija? Że życie przecieka ci między palcami?

– Jeszcze do niedawna nie – odparł, ale nie wiedziała, jak rozumieć jego słowa.

– Nie chciałabym związku, który kończy się wymianą kartek świątecznych raz do roku.

– Muszę ci o czymś powiedzieć, ale to chyba nie najlepszy moment. – Zatrzymał się i wpatrzył w rzekę. – Nie jestem związany z żadną kobietą, lecz z miejscem. Moje życie jest zaplanowane. Urodziłem się w górach południowo-wschodniej Francji i kiedy przyjdzie czas, do nich wrócę.

– Nie widzę tu żadnego problemu.

– Być może. Ale teraz do wieczora daleko, świeci słońce, towarzyszy mi piękna kobieta i jesteśmy szczęśliwi. Niech tak zostanie. Trudne rozmowy mogą poczekać. – Delikatnie ucałował jej rękę. – Pokażesz mi centrum?

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy dojeżdżali do śródmieścia, zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Przepraszam, Lucy – mruknął skruszony, ale odebrał. – Duvallier, słucham? Tak, John. Nie, nie jestem sam, wybieramy się na kolację... – Z przepaszającą miną uścisnął jej ramię. – Tak, na upartego jestem wolny... Co? Dzisiaj pociągiem?! – wykrzyknął, zamilkł na chwilę, w końcu westchnął ciężko. – Jesteś bardzo uprzejmy, że wszystko załatwiłeś, John. Jadę się spakować.

– Rozumiem, że nasza kolacja właśnie została odwołana – zauważyła Lucy, gdy nagle zapadła cisza.

– To był John Bennet. W Londynie odbędzie się trzydniowa konferencja położników. Zaczyna się już jutro rano. W ostatniej chwili zrezygnował jeden z uczestników i John zarezerwował dla mnie jego miejsce. Lucy, strasznie cię przepraszam, wiem, że nieładnie to wyszło...

– Marc, to tylko kolacja. Konferencja trwa raptem trzy dni, a taka okazja może się nie powtórzyć. Musisz jechać. Byłabym na ciebie zła, gdybyś postąpił inaczej.

– Jest ci choć trochę przykro, że tracimy wspólny wieczór?

– Nawet bardzo – wyznała cicho.

Kiedy zatrzymała się na światłach, przyciągnął jej dłoń do ust i delikatnie ucałował jej palce. Chciała poczekać, aż się spakuje, i podwieźć go na dworzec, ale nie zgodził się.

– Zamówię taksówkę, moja droga. Mam ci tyle do powiedzenia, ale poczekam. Nie chcę, żebyśmy zegnali się na peronie, to przykre i niczego nie wnosi.

– Najważniejsze, że wrócisz.

Po raz pierwszy pocałował ją w usta, choć pocałunek ten trwał zaledwie chwilę.

– Do ciebie.

Przez te dwa dni dzwonił do niej wieczorem, jednak rozmowy były krótkie i, by użyć jego określenia, niczego nie wnosiły. Za pierwszym razem Lucy była właśnie u rodziców i niezręcznie było jej wyjść w połowie kolacji, za drugim w szpitalu, gdzie akurat miała prawdziwe urwanie głowy. Marc powiedział tylko, że za nią tęskni, że jest zmęczony, ale wiele się nauczył.

Najważniejsze, że zadzwonił, myślał o niej. Jakoś wytrzyma te trzy dni.

Była ósma wieczór, na oddziale panował spokój. Lucy i jej starsza koleżanka Brenda siedziały w pokoju pielęgniarek i raczyły się herbatą. Nagle drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Marc. Lucy patrzyła na niego oniemiała. Miał wrócić dopiero jutro!

– Wiem, że się mnie nie spodziewałyście, ale konferencja skończyła się dzień wcześniej i pomyś-

lałem, że po drodze do domu wstąpię tutaj. Na jutro mamy zaplanowane trzy cesarki i chcę mieć na piśmie zgodę pacjentek – oznajmił neutralnym tonem, potrząsając plikiem kartek.

– Zaprowadzę cię – powiedziała pewna, że przyjechał po to, aby się z nią zobaczyć. – Właśnie skończyłam herbatę.

Udała, że nie zauważa porozumiewawczego uśmiechu Brendy, i wyszła za Markiem na korytarz. Nie odzywali się, nie było takiej potrzeby, wystarczyło im, że ich dłonie się dotykały. Przywitali się z ubranymi w szlafroki pacjentkami zgromadzonymi przed telewizorem, Marc wyjaśnił pokrótce istotę zabiegu i powody, dla których prosi o pisemną zgodę na jego przeprowadzenie. Nie wdawał się w zbędne szczegóły, ale chętnie odpowiadał na pytania.

Pierwszy podpis uzyskał bez przeszkód. Gdy rozmawiał z drugą pacjentką, dał się słyszeć dzwonek alarmowy i, niemal równocześnie głośny okrzyk bólu. Marc i Lucy pobiegli do sali.

– Rodzę! – zawołała ciężarna. – Ja rodzę!

Lucy ściągnęła z niej kołdrę i stwierdziła, że kobieta się nie myli.

– Margaret Elland, trzydziesty ósmy tydzień – zwróciła się do Marca. – Ostatnia z twojej trójki, cesarka zaplanowana na jutro, jedną już przebyła. Niewspółmierność porodowa: dziecko ważyło przeszło cztery kilogramy, poród trwał osiemnaście godzin. Po południu miała skurcze Braxtona-Hicksa, ale wszystko w normie. Dziecko niemałe, ale i nie za duże.

Marc stanął przy głowie rodzącej.

– Witam, jestem doktor Duvallier, a to położna Lucy Stephens. Wszystko wskazuje na to, że pani dziecko postanowiło trochę za wcześnie przyjść na ten świat, ale to nie powód do zmartwienia. Lucy pani pomoże i wszystko będzie dobrze.

– Lecę po inkubator i zawiadamiam pediatrię – rzuciła od progu Brenda, która błyskawicznie oceniła sytuację. – Wezwać specjalistę położnika?

– Nie, ale pośpiesz się z tymi pediatrami, w płynie owodniowym jest smółka. – Ścisząc głos, dodał: – Mam nadzieję, że zdążą.

Poród był błyskawiczny, co wiązało się z ryzykiem wystąpienia krwotoku. Noworodek – dziewczynka – przyszedł na świat oblepiony smółką – zielonkawo-czarną mazią – co zapowiadało kłopoty. Lucy przecięła pępowinę, ale zamiast pokazać dziecko matce, podała je Marcowi. Gdy trafiło do inkubatora, zajęła się matką, która musiała jeszcze urodzić łożysko.

– Gdzie jest dziecko? Chcę zobaczyć dziecko! – płakała kobieta.

– Musimy dopilnować, żeby smółka nie dostała się pani córeczce do płuc, doktor się nią zajmuje.

Obejrzała się dyskretnie na Marca i Brendę, pochylonych nad inkubatorem. Noworodek był nienaturalnie cichy i Lucy natychmiast domyśliła się, że nie jest dobrze. Usłyszała, jak Brenda szepcze:

– Jest zamartwica, może lepiej poczekajmy na pediatrę?

– Nie ma czasu. Dałem jej cztery punkty w skali Apgar. Muszę ją zaintubować, zanim się udusi.

– Rozumiem, że wykonywał pan podobne zabiegi?

– Jeśli nie spróbuję, to dziecko umrze.

Lucy знаła procedurę – lekarz intubuje noworodka, pomagając sobie laryngoskopem, następnie wprowadza do rurki dotchawiczej cieńszą sondę, którą odsysa zalegającą wydzielinę, potem dziecku podawany jest tlen – i zdawała sobie sprawę, że mało kto przed specjalizacją podjąłby się przeprowadzenia takiego zabiegu. Niemniej nie miała czasu na takie rozważania, musiała zająć się matką. Po pewnym czasie usłyszała na korytarzu odgłos kroków i szmer głosów, a chwilę później do sali wpadł pediatra z asystą. Rozeznał się w sytuacji i uśmiechnął do matki.

– Pani Elland? Jestem pediatrą. Pani córeczka napędziła nam strachu, ale już jest dobrze. Zabierzemy pani córkę na oddział intensywnej opieki, podejrzewam, że tylko na dzisiejszą noc, ale najpierw ją pani pokażemy.

– Mogę ją potrzymać?

– Ma pani całe życie na to, żeby ją nosić na rękach, ale teraz odpoczywa i nie będziemy jej niepokoić. Proszę się nie martwić. Jest pod dobrą opieką.

– Zastąpię cię, jeśli chcesz – powiedziała Brenda, pojawiając się u boku Lucy. – Kryzys opanowany, a widzę, że padasz z nóg.

– A gdzie jest...? – spytała Lucy zmęczonym głosem.

– Poszedł, pediatra poprosił go na słowo.

– Jasne.

Marc wrócił dwadzieścia minut przed końcem zmiany, ale zaraz znowu gdzieś się zawieruszył, za to czekał na nią, gdy przebrana szykowała się do wyjścia do domu.

– Pomyślałem, że cię odprowadzę.

– To miło. Opowiesz mi, co z małą Elland, i jak było na konferencji.

– Trafiła na OIOM noworodkowy – zaczął, gdy wyszli ze szpitala. – Pediatria spytał, czy nie chciałbym skończyć tego, co zacząłem. Powiedziałem, że chcę.

– Słyszałam. – Lucy uśmiechnęła się do niego.

– Uratowałaś tej dziewczynce życie.

– Być może – przyznał po chwili. – Pediatria mówił to samo.

– I jak się z tym czujesz?

– Przyjechałem do Wielkiej Brytanii dawno temu – odparł, odwzajemniając uśmiech – i pewnie powinienem nauczyć się od was tej waszej powściągliwości, ale nic z tego. Jestem Francuzem i nie boję się mówić o uczuciach. A czuję się cudownie, tak cudownie, że mógłbym... mógłbym... – Urwał nagle, przyciągnął jej twarz i pocałował ją w usta, mocno i gwałtownie. – Że mógłbym cię ucałować!

– Pozwolę sobie zauważyć, że właśnie to zrobiłeś.

– Pocałunek był cudowny, ale wołała zmienić temat.

– Podjąłeś duże ryzyko. Nie masz specjalizacji i nie powinieneś samodzielnie dokonywać intubacji. Nikt nie miałby do ciebie pretensji, gdybyś postanowił zaczekać na zespół pediatrów. Gdyby natomiast dziecko zmarło po intubacji, mógłbyś mieć kłopoty.

– Wiem o tym i przyznaję, że miałem pietra. Ale jak trzeba, to trzeba, człowiek robi swoje i nie myśli o konsekwencjach.

– Rozumiem cię – przytaknęła. Spojrzała na jego zmęczoną twarz i dodała: – Musisz być skonany. Konferencja w Londynie, podróż pociągiem i teraz jeszcze to. Miałeś wyjątkowo ciężki dzień.

– Jak się człowiek przymierza do specjalizacji, ma oficjalny zakaz odczuwania zmęczenia. Poza tym działasz na mnie jak balsam – powiedział, biorąc ją za rękę.

Ucieszyło ją to, nadal jednak nie wiedziała, co myśleć o ich związku, i podejrzewała, że z Markiem jest podobnie. Gdy obok nich przeszli jacyś ludzie, roześmiani i zajęci rozmową, powiedziała:

– Idą do Czerwonego Lwa.

– Gdzie poznaliśmy się przed niecałym tygodniem.

– Dobrze to pamiętam. Zrobiłeś na mnie wielkie wrażenie.

Marc uścisnął jej dłoń.

– Ty na mnie też – wyznał. – Cieszę się, ale trochę mnie to przeraża. Normalnie, kiedy dwoje znajomych z pracy podoba się sobie, zaczynają się spotykać i czekają na rozwój sytuacji. Ale u nas to coś więcej, nie sądzisz?

– Chyba tak. – Nie chciała niczego psuć, ale musiała zapytać: – Kiedy ostatnio się widzieliśmy, mówiłeś, że są sprawy, o których powinniśmy porozmawiać...

– Może i tak. – Westchnął. – Powinienem wyznaczyć ci parę rzeczy o sobie, inaczej byłoby niehonorowo.

Lucy słuchała go, pełna czarnych myśli. Nagle tknęło ją okropne podejrzenie.

– Jednak jest jakaś kobieta?

– Nic podobnego! – Zaśmiał się i pokręcił głową.
– Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Ale najpierw pytanie: jesteś głodna?

– Jestem – odparła zgodnie z prawdą.

– To może pojechalibyśmy do mnie coś zjeść? Nic wykwintnego, jakiś omlet i sałatka? Do tego kieliszek wina?

– Świetny pomysł. Jesteś dobrym kucharzem?

– O tyle, o ile. Jak każdy student medycyny, sztukę smażenia frytek opanowałem do perfekcji. Obawiam się, że moje mieszkanie nadal przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz, ale trzymam cię za słowo: obiecałaś, że mi pomożesz zmienić je w prawdziwy dom. Dzisiaj natomiast niech rozjaśni je twoja obecność. Potem sobie pogadamy. – Znowu uściśnął jej rękę. – Bardzo lubię z tobą przebywać, Lucy. Stęskniłem się.

Niewiele później siedziała w mikroskopijnych rozmiarów kuchni i patrzyła, jak Marc przygotowuje posiłek.

– Myślałeś kiedyś o specjalizacji z chirurgii?

– Nie, czemu? – Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Jesteś taki szybki i precyzyjny. Mnie zajęłoby to dwa razy więcej czasu.

– Wątpię. Położone też muszą mieć refleks. Tylko pomysły, jakie małe i śliskie są noworodki.

– Możliwe – przyznała ze śmiechem. – W każdym razie nadajesz się na chirurga.

– A zostanę lekarzem ogólnym. Chociaż gdyby to zależało ode mnie, wolałbym położnictwo i ginekologię – dodał, zanim jednak zdążyła poprosić o wyjaśnienie, zmienił temat: – Chyba wszystko jest gotowe. Zasiadamy do wieczerzy?

Zaniósł jedzenie do salonu i wrócił do kuchni po wino, jak się okazało, znakomite. Lucy była w świetnym nastroju i postanowiła nie poruszać przykrych tematów.

– Konferencja się udała? – spytała zatem.

– Była męcząca, ale bardzo owocna. Muszę podziękować Johnowi, że mnie na nią wysłał.

– Czyli warto było odwołać naszą randkę? – Uśmiechnęła się przekornie.

– Jeśli pytasz, co jest przyjemniejsze, kurs czy randka z tobą, to oczywiście randka, bez dwóch zdań. Ale w życiu liczą się nie tylko przyjemności. Dolać ci wina?

Kolacja była niewyszukana, lecz przepyszna: gorące bułeczki, sałata i omlet. Kiedy się nasycili, Marc poszedł zaparzyć kawę.

– Bardzo chętnie – odparła, gdy spytał, czy ma ochotę na kieliszeczek likieru. – Ale pod jednym warunkiem. Pozwolisz mi pozmywać.

– Lucy, nie trzeba. Mogę sam...

– Bo pójdę do domu! – zagroziła.

Pozmywała naczynia, Marc przyniósł kawę, butelkę likieru i dwa małe kieliszki, po czym usiedli na kanapie. Lucy upiła łyk zielonego trunku i oczy jej się zrobiły okrągłe.

– Marc! Co to jest?

– Specjał z moich rodzinnych stron. Robi się go z przeszło sześćdziesięciu gatunków ziół, jest bardzo mocny. Ponoć ma ożywczą moc.

– Ja myślę! Chyba nawet umarłego postawiłby na nogi. Marc, o czym chciałeś mi powiedzieć? Co jest aż tak ważne?

– Chciałem ci jeszcze raz podziękować za sobotę. Widać, że jesteś bardzo zżyta z rodziną – powiedział, pozornie zmieniając temat.

– Jest treścią mojego życia.

– Takie odniosłem wrażenie. Rozumiem to i mogę ci tylko pozazdrościć. Ja już nie mam rodzeństwa...

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady kartkę.

– Pytasz, co jest takie ważne? Może zaraz zrozumiesz. To list od mojej matki, pisuje do mnie co najmniej raz w tygodniu. Przetłumaczę ci fragment, chciałbym, żebyś miała jakieś wyobrażenie o jej charakterze.

Lucy słuchała w milczeniu.

– „Melanie d’Ancourt była u nas wczoraj na kolacji z rodzicami i kazała cię serdecznie pozdrowić. Jest prawniczką, świetnie jej się powodzi. Pytała, czy po powrocie ją odwiedzisz, ale sama ją do nas zaproszę. Czas, byś się ożenił i ustatkował, a Melanie byłaby odpowiednia”.

– Rzeczywiście jest „odpowiednia”? – spytała Lucy.

– A jakże, każdy mężczyzna byłby dumny z takiej żony. Jest w dobrych układach albo spokrewniona z każdym arystokratycznym rodem w naszej dolinie.

Uśmiechnął się krzywo.

– Tyle że osobiście jej nie cierpię. Znasz ten typ,

nie pozwoli się pocałować, bo szminka jej się rozmaże.

Lucy parsknęła śmiechem.

– Matka próbuje tobą dyrygować? I ty się na to godzisz?

– We Francji jest inaczej niż tutaj. Powiedzmy, że jesteśmy nieco staroświeccy.

– Fascynujące. Nie rozumiem tylko, dlaczego mi o tym opowiadasz.

– Trudno to wyjaśnić. W moich stronach jest takie powiedzenie: „Każdy mężczyzna ma dwie żony: kobietę i ziemię”. I przyjdzie taki czas, kiedy będę musiał do mojej drugiej żony wrócić. To moja powinność.

– Jak mam to rozumieć? Że to, co jest między nami, skończy się na wymianie świątecznych pocztówek?

– Nie! Ja... ja naprawdę chcę się z tobą spotykać. Poznanie ciebie było najwspanialszą rzeczą w moim życiu. Po prostu muszę cię ostrzec: nie jestem wolny. Z czasem wrócę do Montreval, a wiem, że nie byłabyś tam szczęśliwa. Cokolwiek się wydarzy, kiedy przyjdzie mi wracać, nie będę już mógł być z tobą. – Umilkł, bowiem Lucy zakryła mu usta dłonią.

– Marc, masz jedną olbrzymią wadę.

– Tak?

– Tak. Za dużo mówisz. Za dużo się martwisz. Będziemy dalej chodzić do pracy i spotykać się, dopóki będziemy tego chcieli. Co dalej, pokaże czas. Ale cieszymy się chwilą, zamiast wybiegać myślami w przyszłość.

– To takie proste? – spytał, marszcząc brwi.

– To takie proste. Na początek mógłbyś mnie pocałować.

Siedzieli przytuleni i pocałowali się wreszcie, choć raczej po przyjacielsku niż jak para kochanków.

– Jak miło – wymruczała Lucy, gdy oparł głowę na jej ramieniu.

Nagle usłyszała, że Marc chrapie.

– Inaczej to sobie wyobrażałam – mruknęła, ale i ją zaczęła morzyć senność.

Przymknęła oczy – tylko na chwilę. Kiedy znowu je otworzyła i spojrzała na zegarek, dochodziła pierwsza w nocy. Obudził ją jakiś hałas, coś trudnego do określenia. W tej samej chwili Marc wymamrotał przez sen:

– Simone... Simone...

Ostrożnie wysunęła się z jego ramion, ale ocknął się mimo to.

– Lucy? Przepraszam, chyba przysnąłem.

– Nie ma za co. Muszę się zbierać do domu.

– Lucy, głos ci się zmienił. Coś się stało?

– Mówiłeś przez sen. Kim jest Simone?

Spodziewała się wszystkiego, lecz nie tego, że Marc wybuchnie śmiechem.

– I zastanawiałaś się, kto to jest i kim jest dla mnie? Otóż Simone to młoda i bardzo ładna Francuzka, a przy tym moja kuzynka, która przysparza całej mojej rodzinie zgryzot od dnia swoich narodzin. Niedawno przyjechała do Anglii, matka wspomniała mi o tym w liście. Chcesz, to ci przeczytam?

– Nie! Marc, przepraszam, pewnie myślisz, że

jestem... W każdym razie ja naprawdę muszę już wracać.

Podniósł na nią senne oczy.

– Zawsze mogłabyś zostać i...

– Może innym razem. Jeszcze nie dzisiaj.

– Chyba masz rację. Odprowadzę cię.

– Jesteś skonany, nie trzeba, za pięć minut będę w domu.

– Przecież wiesz, że nie puszczę cię samej. Odprowadzę cię, bo chcę.

Przez całą drogę trzymali się za ręce. Przed drzwiami Marc pocałował ją i powiedział z uśmiechem:

– Wiesz co, podoba mi się to życie chwilą. Przy najmniej ona jest nasza, choć przyszłość nie.

– Chwila jest nasza, przyszłość nie – powtórzyła.
– Trzymam cię za słowo.

Dziesięć minut później leżała już w łóżku i rozmyślała nad słowami Marca. Postąpił jak człowiek honoru: uprzedził, że pewnego dnia wróci do domu i że nie czułaby się tam szczęśliwa, że przyjdzie taki czas, kiedy będą musieli się rozstać. Zobaczymy, pomyślała, sekretnie wypowiadając wojnę małemu skrawkowi ziemi w południowo-wschodniej Francji. Liczyła na zwycięstwo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Umówili się na wieczór, lecz ku zaskoczeniu Lucy, Marc pojawił się na oddziale wczesnym popołudniem.

– Twój szef prosił, żebym wpadł do Astrid z wizytą – wyjaśnił. – Raczej towarzysko niż jako lekarz. Rozumiem, że jeszcze jej nie wypisał?

– Martwi się o nią, nie chce, żeby siedziała w jakiejś kawalerce sama jak palec – odparła Lucy. – W dalszym ciągu wiemy o niej tyle co nic. Szef powiadomił opiekę społeczną.

– Zdobyłem informacje, które mogą ją zainteresować. Lucy, możemy pomówić na osobności? Chciałbym się ciebie poradzić.

Poszli do pokoju lekarskiego.

– Francja to nie Anglia – zaczął Marc. – W większości małych miast burmistrz dysponuje władzą, o jakiej angielskim burmistrzom się nawet nie śniło. I z reguły większość mieszkańców zna osobiście.

– Mów dalej. Marc, mam dziwne wrażenie, że trochę nagiąłeś przepisy.

– Możliwe. Zadzwoiłem do burmistrza rodzinnego miasteczka Astrid. Wyjaśniłem, że jestem lekarzem pracującym w Anglii i poszukuję młodego Anglika, który przed kilkoma miesiącami mieszkał w tamtejszym schronisku młodzieżowym. Poprosi-

łem o jego adres domowy, powodów nie podałem, zasłoniłem się tajemnicą lekarską. Burmistrz obiecał się dowiedzieć. Oddzwonił po dwóch godzinach i podał mi adres Kevina Conolly'ego. Dysponowała nim żandarmeria.

– To czemu Astrid miała problem z jego zdobyciem?

– Bo ma osiemnaście lat i nie jest lekarzem. Albo zwyczajnie nie wpadła na ten pomysł.

– I co teraz?

– Nie wiem, czy przekazać adres opiece społecznej, czy podać go Astrid, czy zacząć od wizyty u tego Kevina. O ile adres jest aktualny.

– Nie możesz stresować Astrid. Nie w jej stanie. Przeżyła dość rozczarowań.

– A skąd wiesz, że ta historia musi się skończyć kolejnym zawodem?

– Daj spokój, Marc! – Uśmiechnęła się kwaśno. – Przelotny wakacyjny romans sprzed wielu miesięcy? Jaki mężczyzna ucieszyłby się, słysząc, że zostanie ojcem?

– A może to prawdziwa miłość. Może Kevin będzie szczęśliwy, że Astrid go odnalazła.

Lucy z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Marc, zawsze uważałam się za niepoprawną romantyczkę – odparła z westchnieniem – ale widzę, że przy tobie to pestka. Bądź realistą. Idź do Astrid, porozmawiaj z nią, ale nie opowiadaj o swoich odkryciach, a po pracy pojedziemy do Kevina.

– Wyborna myśl.

Trzy godziny później stali przed drzwiami zadbanego bliźniaka na obrzeżach miasta.

– Nadal uważasz, że to dobry pomysł? – spytała Lucy.

– Jaki napis jest wygrawerowany na wisiorku, który masz na szyi, Lucy?

– Już ci przecież mówiłam. „Miłość wszystko przewycięży”.

– Pozostaje nam tylko w to wierzyć.

Otworzył im chłopak o sympatycznej aparycji, w pasiastym biało-niebieskim fartuchu narzuconym na ubranie.

– Pan Kevin Connolly? – upewnił się Marc.

– Tak. Przepraszam za strój, ale próbuję właśnie coś upichcić. Przykro mi, ale nie zastali państwo moich rodziców. Mogę jakoś pomóc?

– Zna pan niejaką Astrid Duplessis? – odezwała się Lucy.

Chłopak na chwilę zaniemówił, potem usta rozciągnęły mu się w radosnym uśmiechu.

– Astrid? To pani wie, gdzie ona jest? Chce się ze mną zobaczyć?

– Można tak powiedzieć – odparła Lucy oględnie.

– Możemy porozmawiać?

Do szpitala dotarli po zmroku. Lucy wjechała na parking, wyłączyła silnik i spojrzała na Marca.

– Jesteśmy zadowoleni z wyników naszej wieczornej wyprawy? Słusznie postąpiliśmy?

– Nie wiem. Najważniejsze jest dobro Astrid. Może dobrze się stało, że spotka się z Kevinem, chcę

w to wierzyć. Był szczęśliwy, kiedy usłyszał, że o nim nie zapomniła, że wciąż go kocha.

– I taki przerażony, kiedy się dowiedział, że zostanie ojcem.

– To prawda. Ale szybko pogodził się z tym. – Zamyślił się. – Czasami w życiu człowieka wydarza się coś, co każe mu z dnia na dzień wydorosnąć, a to bywa bolesne.

– Wolałabym, żeby Astrid pogodziła się z rodziną zamiast z Kevinem, chociaż przyznaję, że to miły chłopak. Rodzice są jej teraz bardziej potrzebni.

– Lucy! On ją kocha! Zrobiłby dla niej wszystko.

– Teraz, być może. Co dalej, to się dopiero okaże.

– Moim zdaniem Kevin udowodnił, że jest odpowiedzialny, a to równie ważne jak fakt, że ją kocha. Owszem, przeżył szok, ale widać, że to chłopak z charakterem, więc zbytnio bym się o Astrid nie martwił.

– Obyś miał rację.

– Nie chce mi się spać – powiedział, gdy wysiedli z samochodu – jestem za bardzo przejęty. Poszedłbym na krótki spacer. Dotrzymasz mi towarzystwa?

– Oczywiście. Wiesz, Marc, miło czasem pobyć tylko we dwoje.

– W szpitalu zawsze ktoś cię potrzebuje. To największa wada i zarazem zaleta tego fachu.

– Święte słowa.

Noc była ciepła, w powietrzu unosił się zapach ziemi i roślin. Spacerowali ciemnymi alejkami, rozmawiając o jakiś błahostkach, po czym przystanęli pod kwitnącą limetą. Lucy pozwoliła się objąć

i czekała na pocałunek, na jakąś deklarację z jego strony. Przez chwilę Marc delikatnie głaskał ją po plecach, aż wreszcie pochylił się i pocałował ją w usta. Lucy straciła poczucie czasu, zapomniała, gdzie jest i jak się nazywa, pragnęła tylko, by całował ją bez końca. Ciepło jego ciała, jego bliskość, odurzały ją i podniecały. Nagle położył dłonie na jej ramionach i potrząsnął nią delikatnie. Otworzyła oczy i westchnęła zawiedziona.

– Powinnaś już iść – powiedział. – Jesteś zmęczona.

– Ale ja nie chcę... – wyszeptała.

Pocałował ją, krótko i mocno.

– Musisz. Ale jutro znowu się zobaczymy.

Przyciągnęła jego twarz i szybko pocałowała go w usta.

– Jesteś kochany – powiedziała cicho. – Dobranoc, Marc.

Odwróciła się i pośpieszyła do domu. Gdyby szła wolniej, jeszcze uległaby pokusie i zaproponowałaby mu kieliszek czegoś mocniejszego na sen. Przed wejściem obejrzała się i pomachała mu na pożegnanie.

Czuła się zmęczona, ale nie senna. Wzięła prysznic i usiadła na łóżku z kubkiem gorącego kakao, zastanawiając się, co właściwie czuje do Marca Duvaliera. Pierwszy wniosek był aż nazbyt oczywisty: ciągnęło ich do siebie za sprawą jakiejś niepojętej siły. Po drugie, kiedy ją pocałował, jej ciało zareagowało natychmiast, i wiedziała, że z nim dzieje się to samo. Po trzecie, to najprzystojniejszy i najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego dotąd poznała, wiele ich łączy, pasują do siebie, więc skąd ten niepokój?

Przecież nie stąd, że Marc jest cudzoziemcem. Odmienność zwyczajów, lekki francuski akcent, wszystko to czyniło go w jej oczach jeszcze bardziej atrakcyjnym. Co tu kryć: zakochała się i tyle.

Nazajutrz szła do pracy pełna nadziei, ale i niepokoju. Chciała być przy wizycie Kevina u Astrid. Marc poszedł zreferować sytuację Johnowi, a kiedy wrócił, spytała pośpiesznie:

– I co powiedział?

– Uważa, że to idealne rozwiązanie dla Astrid. Znasz go, jest zdania, że dziecko potrzebuje dwojga rodziców. Twoja koleżanka Jenny orzekła, że to urocze.

– Jenny to romantyczka – mruknęła Lucy. – Okej, wszystko załatwione, jeszcze tylko zajrzę do Astrid, a ty porozmawiaj z młodym kochankiem.

W tej samej chwili ukazał się Kevin, ledwie żywy ze zdenerwowania, z olbrzymim bukietem róż w garści.

– Mam dla ciebie niespodziankę, Astrid – powiedziała z uśmiechem i gestem przywołała Kevina, który pomknął przez oddział niczym strzała.

Sekundę później rozległ się okrzyk radości:

– Kevin!

– Ktoś się ucieszył. Oby tak już pozostało.

– Nie przesadzaj z tym pesymizmem. Przed chwilą z nim rozmawiałem. Wieczorem powiedział o wszystkim rodzicom, nawiasem mówiąc, okazało się, że jego matka uczy francuskiego. Przeżyli wstrząs, ale powoli dochodzą do siebie. Zamierzają zaproponować Astrid, żeby się do nich wprowadziła

na tak długo, jak tylko będzie chciała. – Spojrzał na Lucy w zamyśleniu. – W życiu zdarzają się historie z happy endem, Lucy.

– To ja też proszę o happy end.

Lucy poprosiła Marca, by wpadł do niej po przekazaniu zmiany.

– Wiesz, że dzisiaj pracujesz do późna – stwierdziła, kiedy przyszedł – podobnie jak przez kilka najbliższych dni, ale mam pewien pomysł.

– Lucy, ta twoja niewinna minka dowodzi, że coś knujesz.

– Ja? Knuję? Nigdy! – Uśmiechnęła się wesoło. – Wieczorem siedzę z dziećmiakami Lizzie, bo mąż zabiera ją na kolację, obchodzą rocznicę ślubu, za to jutro, pojutrze i popojutrze jestem wolna. Wiem, jaki jesteś zapracowany, a ja nie mam akurat nic pilnego do roboty, więc zerknij łaskawie na te palety. Która najbardziej ci się podoba?

Spojrzał na próbnik barw, potem na nią.

– Po co mi to pokazujesz, Lucy?

– Wspominałeś, że chcesz się wziąć za mieszkanie. Ścianom już się przyjrzałam, wyglądają solidnie. Wałki i pędzle wezmę od Lizzy, ma cały zapas. Wyliczyłam sobie, że dwukrotne pomalowanie salonu i holu z sufitami zajmie mi jeden dzień.

– Słucham...? – spytał zdumiony.

– Jestem znakomitą dekoratorką wnętrz – oznajmiła. – No, jak na amatorkę. W każdym razie mam dryg do malowania i tapetowania. W domu zawsze sami braliśmy się za takie prace.

– *C'est impossible!* – wykrzyknął po francusku, jak zwykle, gdy był poruszony. – Lucy, nie mogę pozwolić, żebyś... Ja sam...

– Gdyby pomoc zaproponowałby ci kolega, zgodziłbyś się?

– Owszem – przyznał po namyśle – ale to zupełnie co innego.

– Nie znacę dla ciebie więcej niż koledzy?

– Przecież wiesz. Jesteś niezrównana.

– To super. Może kość słoniowa w salonie, a w holu biel z dodatkiem złota?

– Cóż ja mogę powiedzieć?

– Stawię się u ciebie jutro rano, punkt ósma. Farbę kupię wieczorem, jadąc do Lizzie.

Aluminiowa drabina była przywiązana do dachu samochodu, przybory do mycia ścian, pędzle i folia malarska zostały upchnięte w bagażniku. Lucy – ubrana w ogrodniczki, w czapeczce na głowie – wpadła do mieszkania Marca i rozejrzała się.

– Do ostatniej chwili nie wierzyłem, że przyjdiesz – wyznał ze skrucą.

Pomyślała, że w białej koszuli bez krawata i w eleganckich spodniach wygląda wyjątkowo atrakcyjnie.

– Ale przyszłam. Meble masz lekkie, powinnam je przesunąć bez problemu. Możesz spokojnie biec do pracy. Mówię ci, zastaniesz całkiem nowe mieszkanie.

Szybko zsunęła meble na środek salonu, rozłożyła folię malarską i zabrała się za mycie ścian i sufitu, nie mogąc się doczekać samego malowania. Przepracowała cały dzień, jedynie w porze lunchu zrobiła sobie

przerwę i zjadła przyniesione z domu kanapki. O piątej zadzwonił Marc.

– Lucy, muszę posiedzieć po godzinach. Chciałem cię gdzieś zaprosić albo samemu coś ugotować, ale po prostu nie dam rady się wyrwać. Proszę, nie haruj tak, jedź do domu odpocząć. Przecież się nie pali.

– Myślałam, że lepiej mnie znasz. Proszę spokojnie sobie pracować, panie doktorze – odrzekła i rozłączyła się.

Trzy kwadransy później ktoś zapukał do drzwi. Zeszła z drabiny, otworzyła drzwi i ujrzała uśmiechniętego chłopaka z płaskim kartonowym pudłem.

– Już zapłacone – wyjaśnił doręczyciel pizzy. – Mam jeszcze dla pani wiadomość, ale nic nie kapuję. „To dla wyrównania poziomu cukru we krwi”.

– A ja owszem – odparła Lucy z rozbawieniem.

Marc wrócił dopiero o dziewiątej. Lucy skończyła dosłownie chwilę przed jego przyjściem i odpoczywała w kuchni, zmęczona, ale szczęśliwa.

– Tutaj sufit też pomalowałam – pochwaliła się. Obszedł salon, zajrzał do holu.

– Lucy, jesteś cudotwórczynią – stwierdził, potrząsając głową, a potem spojrzał jej głęboko w oczy: – Pewnie padasz z nóg?

– Trochę się zmęczyłam.

– Powinnaś się zdrzemnąć. Ale najpierw coś na sen. Gorąca czekolada?

– Cudowny pomysł. – Upiła łyk przygotowanego przez niego napoju i wykrzyknęła: – Pyszne!

– Sprowadzana na specjalne zamówienie z Karaibów. Spróbuj z odrobiną brandy, ma wyrazistszy smak.

– Coś nowego. Dziękuję.

Pomyślała, że jeśli zaraz się nie położy, zaśnie chyba na stojąco.

– Zostaniesz u mnie na noc – oświadczył Marc.
– Oddam ci swoje łóżko, a sam prześpię się na kanapie. Proszę, nie próbuj się ze mną kłócić.

Przyniósł Lucy białą koszulkę.

– Mam tylko to, nie spodziewałem się, że będzie u mnie nocowała dama. Napuściłem ci wody do wanny, myślę, że dzisiaj kąpiel to lepszy pomysł niż prysznic. W łazience znajdziesz czyste ręczniki i nową szczoteczkę do zębów. Zmieniłem pościel i postawiłem przy łóżku szklankę wody. Nie przeszkadzam ci już, dobranoc, Lucy.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta.

– Bez erotycznych podtekstów, po prostu dziękuję ci za to, jaki jesteś.

Przytulił ją i mruknął:

– To był długi dzień. Śpij dobrze, Lucy.

Cudem doczłapała do łazienki i rozebrała się, rzucając ubrania na podłogę. Pilnowała się, by nie przysnąć w wannie, po kąpieli owinęła się ręcznikiem i na palcach ruszyła w stronę sypialni. Przystanąła na chwilę pod drzwiami salonu, jednak po namyśle poszła dalej. Z błogim westchnieniem wśliznęła się pod kołdrę. Chciała przemyśleć tyle spraw, lecz minutę później spała jak zabita.

Marc nalał sobie odrobinę brandy i nasłuchiwał, czy Lucy w łazience nie usnęła. Wreszcie w holu rozległy się kroki, na chwilę zapadła cisza, potem

znowu kroki i trzask zamykanych drzwi. Westchnął i nareszcie przestał wstrzymywać oddech. A gdyby stała w drzwiach, owinięta skąpym ręcznikiem? Właściwie powinien się cieszyć, że tego nie zrobiła, ale pragnął jej tak bardzo...

Pociągnął łyk brandy i gwałtownie się rozkasłał, ale miał wrażenie, że w głowie mu się rozjaśnia. Znał Lucy bardzo krótko, ale zrobiła na nim olbrzymie wrażenie. Naturalnie miał wcześniej wiele kobiet, lecz pomijając jedną katastrofalną sytuację, były to krótkie i przelotne związki. Czy Lucy zgodzi się na przelotny romans? Na pewno nie.

Czuł, że jej się podoba, ale miała tylu przyjaciół, była taka towarzyska, jej życie w niczym nie przypominało tego, które jest mu pisane. Dotąd nie narzekał na swój los, przeciwnie, uważał się za szczęściarza, ale teraz? Może najrozsądniej i najuczciwiej byłoby poprzestać na przyjaźni albo wręcz zerwać tę znajomość, tyle tylko, że wcale tego nie chciał. Chciał się spotykać z Lucy, i to jak najczęściej. Rozdrażniony poszedł spać.

Obudził ją wspaniały aromat kawy. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Lucy przykryła się po samą brodę i zawołała:

– Proszę!

Wykąpany i ogolony, ubrany w jasne spodnie i koszulkę polo, Marc wyglądał schludnie i świeżo. Postawił na łóżku tacę z dzbankiem kawy i kubkiem, małym dzbanuszkim z gorącym mlekiem oraz apetycznie pachnącą grzanką.

– Najlepsze, co Francja i Anglia mają do zaofero-

wania. Francuska kawa, niestety z braku piekarni w pobliżu bez świeżych croissantów, i angielska grzanka z pełnoziarnistego chleba z dżemem.

– Marc, jesteś aniołem! Śniadanie do łóżka? Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś sprawił mi taką przyjemność. Napijesz się ze mną?

– Zostawiłem kubek w salonie.

– To przynieś, siadaj przy mnie i porozmawiajmy. Jak z moimi siostrami, kiedy byłem mała.

– Moje uczucia znacznie różnią się od siostrzanych. Zaczerwieniła się.

– No tak. W każdym razie dzisiaj mam mnóstwo bieganiny i rozmowa z tobą dobrze by mi zrobiła. – Kiedy wrócił z kawą, westchnęła: – Marc, jesteś dla mnie za dobry.

– Nie lepszy niż ty dla mnie. – Uśmiechnął się przekornie. – Nie martwisz się o swoją opinię? A jeśli ktoś zauważy, jak rano wychodzisz z mojego mieszkania?

– Kogo to obchodzi?

– Otóż to, kogo?

– Właśnie sobie pomyślałam, że wiesz o mnie bardzo dużo, a ja o tobie nic. Opowiedz mi o swojej rodzinie.

– Dobrze. Jest znacznie mniej liczna od twojej, z najbliższych została mi tylko matka. Mamy dom w małej wiosce wysoko w Alpach francuskich, na odludziu. Oczywiście są jeszcze najróżniejsi kuzyni i kuzynki, wujowie, ciotki i tak dalej, ale wszyscy mieszkają dość daleko. Inaczej niż u ciebie, duża rodzina i wielkie miasto.

– Czyli jesteś jedynakiem?

– Tak. – Zmarszczył brwi. – Miałem starszego brata, ale zginął w wypadku i teraz ja jestem głową rodziny.

– Marc! Tak mi przykro!

– Wypadki chodzą po ludziach. – Wzruszył ramionami. – To był ciężki okres. Mógłbym długo o tym opowiadać, ale chcę dać ci się spokojnie ubrać. Widzę, że wczoraj rozbierałaś się w pewnym pośpiechu.

Podążyła za jego spojrzeniem i zaczerwieniła się po same uszy na widok białych, zupełnie nieseksownych majtek rzuconych na stertę ubrań.

– Byłam zmęczona.

– O tak – przyznał. – Dzisiaj pracuję, za to jutro oboje mamy wolne, zgadza się?

– Zgadza.

– Może byś mi pomogła? Mam wygłosić pogadankę w mojej starej szkole. Pytali, czy nie znam kogoś, kto opowiedziałby o zawodzie położnej. Co ty na to?

– Dobrze.

– Cieszę się. Ale musielibyśmy ruszyć wcześniej rano. To w Krainie Jezior.

– Chodziłeś tam do szkoły?

– Nauczyłem się w niej wszystkiego, co teraz wiem. Muszę już lecieć, ale najpierw chciałbym...

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Myślałam, że już mnie nie pocałujesz – wyszeptwała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zapowiadał się piękny dzień. Lucy czekała na Marca, ubrana w ładną niebieską sukienkę i przezornie zaopatrzona w płaszcz – w końcu jadą nad jeziora – marząc o tym, aby dzisiejszy dzień okazał się przełomowy. Uśmiechnęła się, kiedy przed dom zajechał wielki czarny mercedes z napędem na cztery koła.

– Ho, ho, terenówka? Nie jest to „lekarskie” auto – zauważyła, siadając na miejscu dla pasażera.

– We Francji często musiałem pokonywać długie dystanse, a zimą bez mocnego silnika ani rusz. Czy mogę ci powiedzieć, że ładnie wyglądasz?

– Dzięki ci, łaskawy panie. Ty za to wprost ucieleśniasz marzenia każdej matki o idealnym zięciu. Trochę taki przerośnięty uczeń – dodała, niewiele myśląc, i zrobiło jej się wstyd. – Chyba się na mnie nie obrazisz?

Uśmiechnął się, zerkając na eleganckie szare spodnie, blezer włożony na białą koszulę z krawatem, i odrzekł:

– Wolę uznać, że to komplement.

Ruszyli na północ autostradą M6. Zjechali z niej na węższe kręte drogi, gdy wokół nich wyrosły wzgórza.

– Drake College – odezwał się Marc, gdy ich

oczom ukazał się duży wiktoriański gmach. – Moja stara szkoła. Specjalizuje się w kształceniu dzieciaków, których rodzice dużo czasu spędzają za granicą. Zwłaszcza tych służących w siłach zbrojnych.

– Miejsce dziecka jest przy rodzicach – rzekła bez namysłu. – Po co decydować się na dzieci, skoro później trzeba się ich pozbyć?

– Często sobie zadawałem to pytanie. Moim zdaniem rodzice mieli poczucie, że obowiązek wzywa ich gdzieś, gdzie nie można zabrać dzieci.

Lucy zauważyła, że pod nazwą college'u widnieje drugi, mniejszy napis.

– „Służba” – przeczytała na głos. – Piękne motto dla szkoły z internatem. Szkoda, że nie ma takiej, której dewizą byłaby „Miłość”.

– Niezły pomysł.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Przepraszam, że tak marudzę, przecież to nie twoja wina, że rodzice ulokowali cię w internacie.

– Lubię, kiedy jesteś szczerą. Mało kto to potrafi – odparł, spoglądając w zamyśleniu na boisko. – W każdym razie dużo się w tej szkole nauczyłem i nie mogę powiedzieć, żebym czuł się tu nieszczęśliwy. Nauczyciele byli bardzo mili. Wyniosłem stąd wiele pięknych wspomnień.

– Twoi rodzice muszą być zamożnymi ludźmi.

– Zdobyłem stypendium, ale nie pozwolili mi z niego skorzystać. – Wzruszył ramionami. – Uważali, że pieniądze powinny trafić do kogoś, kto naprawdę ich potrzebuje.

– Czyli jesteś bogaty?

– Chyba można tak powiedzieć – przyznał. – Z drugiej strony więcej pieniędzy oznacza często więcej obowiązków.

– Chętnie na własnej skórze przekonałabym się, jak to jest – zaśmiała się.

Marc przeprowadził ją przez labirynt korytarzy i zastukał do drzwi.

– Proszę! – zawołał gromki głos.

Marc mrugnął do Lucy i weszli do środka. Z trudem powstrzymała śmiech: doktor Atkins wyglądał jak karykatura dyrektora szkoły. Był wysoki, chudy jak szczapa i zgarbiony, jego głowę otaczała aureola siwych włosów, i miał haczykowaty nos, z którego zsuwały się okulary. Spod powłóczystej szaty wyzierał ciemny garnitur.

– Doktor Duvallier... Marc! Jakże się cieszę! – Głos także nie zaskakiwał: był przenikliwy i nieco piskliwy.

Dyrektor Atkins przywitał się z Markiem i zerknął na Lucy.

– A kogóż tu mamy?

– To panna Stephens. Jest położną.

– Wybornie! Mówca i mówczyni! Jak zawsze stanąłeś na wysokości zadania, Marc. Ogromnie się cieszymy. Panno Stephens, zapewne chciałaby pani się odświeżyć po podróży, uczennica panią zaprowadzi. Potem możemy zaczynać.

– Dobrze.

Co też ją podkusiło, by się zgodzić, pomyślała, opryskując twarz chłodną wodą, lecz doskonale знаła odpowiedź na to pytanie. Musi pokazać Marcowi, na

ile ją stać, choć umierała na samą myśl o publicznym występie.

Podjeżdżała, że Marc jest dobrym mówcą, i nie pomyliła się. Od własnych wspomnień ze szkoły gładko przeszedł do powodów, które skłoniły go do wyboru zawodu lekarza. Wyjaśnił, jakie dokumenty należy złożyć, jakich predyspozycji wymagają studia medyczne i czego przyszli studenci powinni się spodziewać. Gdy studwudziestoosobowa publiczność nagrodziła go brawami, odpowiedział jeszcze na pytania z sali, po czym oznajmił:

– A oto panna Lucy Stephens, położna. Opowie wam o swojej pracy, odpowie na wasze pytania.

Bliska paniki Lucy wstała i rozejrzała się po twarzach słuchaczy, ale wyczytała na nich wyraz zaciekawienia. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się, w duchu zaś postanowiła nieco ubarwić przygotowane wcześniej wystąpienie.

– Znajdujemy się na porodówce – zaczęła. – Jestem położną i wszystko zależy ode mnie, to ja decyduję, czy i kiedy wezwać lekarza. Opiekuję się spoconą, cierpiącą pacjentką, przy której stoi mąż, trzyma ją za rękę i ociera jej pot z czoła. To ich pierwsze dziecko, a on jest jeszcze bardziej przerażony niż ona. Poród trwa od ośmiu godzin, ponad godzinę temu zaczęły się bóle partu. Kobieta jest wyczerpana, ale to nic, najważniejsze, że wszystko przebiega prawidłowo. Zapowiada się poród bez komplikacji, czwarty, jaki odebrałam w tym tygodniu. Ot, dzień jak co dzień.

Zrobiła pauzę, wypila trochę wody i ciągnęła:

– Jednak dla przyszłej matki to nie jest zwykły dzień. To jeden z najbardziej doniosłych i pamiętnych dni w jej życiu. Siedzi na łóżku, podparta poduszkami, nogi ma rozstawione. Badam ją, widzę główkę dziecka. Każę jej przeć. Ona prze i prze, ale główka to się wysuwa, to cofa. Poród postępuje. Za którymś razem główka już się nie cofnie. Mówię matce, że kiedy przyjdzie następny skurcz, ma nie przeć, tylko oddychać. Przytrzymuję główkę dziecka, które coraz bardziej śpieszy się na świat. Główka wysuwa się, matka krzyczy... prawdę mówiąc, wrzeszczy. Wrzeszczy z wysiłku. Bo to ciężka praca. Szybko wycieram twarz dziecka, odsysam śluz z nosa i ust. Jeszcze się nie urodziło, ale na tym etapie pośpiech jest niewskazany. Przy następnym skurczu każę matce przeć. Pokazuje się ramionko. Potem dziecko powoli się obraca i ukazuje się drugie ramię. Chwilę później trafia w moje ręce. I rozlega się pierwszy, słabiutki płacz.

Przyszli studenci słuchali jej oczarowani, kilka osób zapomniało zamknąć usta.

– Mówię rodzicom, że to dziewczynka. Sprawdzamy, czy nie ma widocznych wad rozwojowych. Na szczęście pojawiają się rzadko. Następnie owijamy noworodka kocykiem i kładziemy na piersi matki. Ona obejmuje dziecko i patrzy. To jej dziecko, cząstka jej męża i jej samej. Dali życie nowemu człowiekowi. To czarodziejska chwila. Muszę przyznać, że choć odebrałam wiele porodów, nadal ulegam magii tych pierwszych minut i zdarza mi się uronić łzę wzruszenia. Oczywiście nie można spocząć na laurach. Trzeba jeszcze przeciąć pępowinę, poczekać, aż

matka urodzi łożysko, zbadać noworodka, ale cud narodzin już się dokonał. Przepelnia mnie szczęście. Teraz już wiecie, dlaczego zostałam położną.

Gdy urwała, młodzi ludzie bezwiednie wstrzymali oddech.

– Co do wymaganych kwalifikacji...

Reszta poszła już z górki. Kiedy Lucy skończyła, rozległy się gromkie brawa – chyba nawet głośniejsze od owacji, którą nagrodzono Marca.

– Nie chciała pani zostać nauczycielką? – zagadnął doktor Atkins, który po wykładzie zaprosił ją do siebie na herbatę, podczas gdy Marc poszedł obejrzeć stare kąty. – Ma pani talent.

– Lubię swój zawód – odparła. – Może kiedyś, mając większe doświadczenie, zajmę się szkoleniem młodych położnych. To by mi odpowiadało.

– Jestem o tym przekonany. Długo pani zna hrabiego Montreval?

– Kogo? – spytała wstrząśnięta.

– Aha, nie powiedział pani – mruknął doktor Atkins. – Marc jest hrabią Montreval.

Marc arystokratą? Co on jeszcze przed nią ukrywa?

– Nie wiedziałam, ale też znamy się bardzo krótko.

– Jestem pewien, że z czasem pani powie. Uważa to za zaszczyt i brzemię zarazem. Szczególnie od śmierci brata, Auguste'a... – Atkins zawiesił głos. – Pozwolę sobie zauważyć, że wydaje się znacznie pogodniejszy i szczęśliwszy niż podczas naszego ostatniego spotkania. Widocznie sprawy nareszcie ułożyły się po jego myśli.

– Mam taką nadzieję – odparła Lucy z roztargnieniem. – Ten człowiek to zagadka.

Wczesnym wieczorem ruszyli w drogę powrotną.

– I jak ci się podoba moja dawna szkoła? – zagadnął Marc, kiedy wjechali na autostradę.

– Za żadne skarby świata nie posłałabym dzieci do szkoły z internatem, ale jeśli już, to tylko do tej. Doktor Atkins uczy w niej od dawna?

– Nie. Piastował wysokie stanowisko w wojsku. Napisał parę książek poświęconych strategii i taktyce, zresztą nie najgorzej przyjętych.

– No proszę.

– Jak będziemy bliżej domu, mógłbym zjechać z autostrady i poszukać jakiejś restauracji. Wstąpilibyśmy na kolację.

– Dobrze, ale... Lubisz hinduską kuchnię?

– Nawet bardzo. Czemu pytasz?

– Przy szpitalu jest świetna hinduska knajpka, przywożą jedzenie do domów. Jestem zmęczona, podejrzewam, że ty też. Może pojechalibyśmy do ciebie i coś zamówili?

– Jak wolisz.

– Jestem zmęczona – powtórzyła. – Może ciebie nie stresują publiczne wystąpienia, ale mnie owszem. A teraz posłuchałabym nastrojowej muzyki i trochę się zdrzemnęła.

– Opuść oparcie fotela, będzie ci wygodniej. Płyty znajdziesz tam – odparł, wskazując schowek.

Włączyła muzykę i próbowała się zrelaksować, lecz co chwila wracała myślami do tego, czego

dowiedziała się o Marcu. Zastanawiała się, czy to cokolwiek zmienia, jednak nie odpowiedziała sobie na to pytanie, bowiem szybko zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, wypoczęta i z gotową odpowiedzią, właśnie dojeżdżali do szpitala.

– Podrzucisz mnie do domu? Przebiorę się i przyjdę do ciebie na piechotę.

– Poczekam i pojedziemy razem.

– Daj spokój, przecież to blisko.

Wykapłała się, włożyła spodnie oraz bawełnianą koszulkę, po namyśle spakowała trochę przyborów toaletowych i poszła do Marca. Widocznie na nią czekał, bo otworzył, zanim zdążyła zapukać. Miał na sobie dżinsy i sportową koszulę.

– Wejdz! Mam nadzieję, że jesteś głodna. Zamówiłem zestaw dla dwojga. Dostawa za pół godziny, więc starczy czasu na mały aperitif.

Lucy z dumą rozejrzała się po salonie, który teraz wyglądał znacznie przytulniej. W głębi pomieszczenia czekał pięknie zastawiony stół.

– Podgrzewam talerze. Nie widzę powodu, żebyśmy jedli z plastikowych pojemników.

– Racja.

– Hinduska kuchnia jest bardzo pikantna – zauważył Marc, podając jej kieliszek czerwonego wina. – Pomyślałem, że rioja będzie idealne. Ma dębowy posmak, na tyle wyraźny, że nie zagłuszą go ostre przyprawy.

– Bardzo dobre.

– Po kolacji poczęstuję cię kawą parzoną po mojemu.

– Marc, niepotrzebnie robisz sobie kłopot – powiedziała z uśmiechem.

– Nie zgadzam się. Nawet najskromniejszy posiłek lepiej smakuje, kiedy jest odpowiednio podany. Będziemy udawać, że jesteśmy na bankiecie.

– Niech ci będzie – skapitulowała. – Bardzo mi smakuje to wino.

Marc nie wpuścił jej do kuchni. Przyniósł gorące talerze, zestaw miseczek na obrotowym półmisku oraz sos sambal. Dopiero wtedy usiedli do stołu.

– Jest coś z kuchni francuskiej, czego nie można u nas kupić? Coś, za czym byś tęsknił? – zapytała.

– Są takie specjały z moich stron – odparł po namyśle. – Szynki z dzika, obtoczone ziołami i suszone. Gęste zupy i polewki, które kiedyś jadaliby tylko biedni ludzie, bo robi się je z tanich miejscowych składników, wiele wymagało wielogodzinnego gotowania. Tak, tego mi brakuje. – Uśmiechnął się do Lucy. – Likieru już próbowałaś. Może jeszcze wina?

– Wiesz co? Już nigdy nie zjem niczego, stojąc przy kuchennym stole. Znajdę czas, żeby usiąść i zjeść jak człowiek.

– Każdemu wolno marzyć – zaśmiał się. – Jesteś położną, ja lekarzem. Czasem zwyczajnie nie mamy kiedy usiąść.

– Wtedy to nie posiłek, a uzupełnienie paliwa.

Po kolacji zebrała naczynia ze stołu, a Marc zaparzył kawę i przyniósł jej kieliszek likieru. Lucy czuła się szczęśliwa, ale chciała wyjaśnić parę spraw.

– Poznałeś już sporą część mojej rodziny, a ja wciąż o tobie nic nie wiem. Opowiedz mi o sobie,

o twoim bracie i wytłumacz mi, dlaczego ukrywałeś przed mną, że jesteś hrabią Montreval.

– Skąd o tym wiesz? – spytał ze złością. – I kto ci powiedział o Auguście? Atkins?

– Tylko coś napomknął, ale to i tak więcej, niż usłyszałam od ciebie.

– Nie opowiadam o moim życiu we Francji.

– Zrobisz wyjątek? Proszę, czuję się, jakbym cię w ogóle nie znała.

– Najpierw chcę ci coś pokazać – powiedział, pocałował ją w rękę i poszedł po teczkę, z której wyjął jakieś zdjęcie. – Zamek i wioska Montreval. Należą do mojej rodziny od ponad pięciu wieków.

– Zupełnie jak w bajce.

– Bajki bywają okrutne. I taki jest Montreval, piękny, ale trudno w nim żyć.

Lucy obejrzała fotografię przedstawiającą wąską dolinę, na której zboczu wieżycami, basztami i murami obronnymi jeżył się samotny zamek. W tle widniała garstka domów, parę małych poletek uprawnych i strome góry.

– To piękne, ale chyba odizolowane miejsce.

– O tak. Mimo to kocham Montreval. Mówię ci, wiosną, kiedy wszystko rozkwita... – Urwał i potrząsnął głową rozmarzony. – Musiałabyś to zobaczyć.

Wyciągnął mapę i wskazał jakąś kreskę.

– Ta cienka, kręta linia to jedyna droga do wioski. Do najbliższego miasta, Brouville, mamy dobre pięćdziesiąt kilometrów. Każdej zimy spada tyle śniegu, że jesteśmy kompletnie odcięci od świata.

Odsunął mapę i zmarszczył czoło.

– Montreal nie zmienił się od stuleci. Młodzi nie mogą znaleźć pracy i rozjeżdżają się po świecie za chlebem, ślą bliskim pieniądze, ale potem wracają. Tu się urodzili, tutaj jest ich dom.

– A co z twoją rodziną?

– Ojciec zmarł przed laty, a mój starszy brat, Auguste... zginął tragicznie. Posiadłością zarządza moja matka. Świetnie sobie radzi, lubi to. Po powrocie przejmę jej obowiązki, ale zamierzam dalej praktykować jako lekarz. Chcę otworzyć klinikę, Bóg wie, jak bardzo jej tam potrzeba. Zrobię specjalizację i wrócę do Montreal.

– Cieszysz się z tego?

– Oczywiście. To moje przeznaczenie. Najpiękniejsze miejsce na ziemi.

– Chcesz zamknąć się na całe życie na takim małym spłachetku ziemi?

– Moja rodzina jest tam szczęśliwa od pokoleń. Czemu ze mną miałyby być inaczej?

– Kiedy zamierzasz wrócić?

– Kiedy skończy się mój kontrakt w tym szpitalu.

– Jak ci się układa z matką? – spytała Lucy, próbując poukładać sobie to wszystko w głowie.

– Doskonale. To była jej decyzja, żebym pojechał do szkoły z internatem. Chciała, żeby jej młodszy syn mógł opuścić Montreal i inaczej ułożyć sobie życie. Ale kiedy Auguste zginął, zrozumiałem, że muszę wrócić. Teraz najważniejsza dla mnie jest medycyna, ale już niedługo najważniejsze będą i medycyna, i Montreal.

– Wiesz co? Na dzisiaj starczy mi już opowieści o ideałach, głowa mi pęka. Chcę wrócić na ziemię. Nie obraż się, ale po prostu muszę. Pij tę kawę, a ja pójdę pozmywać.

– Ale...

– Takie proste zajęcie dobrze mi zrobi. I nie chcę słyszeć, że jestem twoim gościem.

– Nie zasłużyłem sobie na kogoś takiego jak ty.

– Po prostu trzymaj się z dala od kuchni.

Pozmywała, ochłoneła trochę i poszła do łazienki ochłapać twarz zimną wodą.

– Włącz jakąś muzykę, dobrze? – poprosiła, siadając na kanapie. – Wybierz coś.

Puścił jakąś francuską piosenkę, której Lucy nie знаła. Z początku nie była nią zachwycona, ale pełna skargi melodia miała w sobie coś urzekającego.

– Co to?

– *C'était une histoire d'amour*. Historia pewnej miłości.

Ku jej zachwytowi zacytował kilka wersów w oryginale. Uwielbiała, gdy mówił po francusku. Następna piosenka okazała się równie smutna.

– „Młodzieniec śpiewał”. Łatwo się domyślić, o czym.

– Czyja to piosenka? Marc, wiem, że to stary utwór, ale bardzo piękny. Co to za piosenkarka?

– Poczekaj. Następna piosenka jest częściowo po angielsku.

– Edith Piaf! – wykrzyknęła. – Ma cudowny głos.

– To prawda. Edith Piaf, „Wróbelek”. Mogę jej słuchać bez końca. *Je n'en connais pas la fin* – wyjaś-

nił, gdy przebrzmiały ostatnie nuty i zaczęła się kolejna piosenka.

- Nie wiem, jak to się skończy – przetłumaczyła.
- Ja też chciałbym to wiedzieć.

Wyłączył muzykę, objął Lucy i delikatnie pocałował ją w usta. Zamknęła oczy i czekała, nie chciała się śpieszyć. Zmysły jej się wyostrzyły i wszystko docierało do niej wyraźniej niż kiedykolwiek: miękkość kanapy, gładkość obicia, zapach jego cytrusowej wody po goleniu, ciepło ciała. I smak ust. Edith Piaf milczała, za to za oknem właśnie rozśpiewał się skowronek.

Gładziła włosy na karku Marca, potem powiodła dłońmi w dół, chcąc poczuć pod palcami mięśnie jego pleców, lecz nie zdołała. Omal nie zmiażdżył jej w uścisku, nie odrywając się od jej ust. A gdy ją wreszcie puścił, rozchyliła powieki i spojrzała w jego pociemniałe oczy.

– Leżę sobie jak królowna, a ciebie od tego schyłania plecy pewnie bolą – powiedziała zdławionym głosem, ucałowała go jeszcze raz, wstała i pociągnęła go za rękę. – Pójdźmy gdzieś, gdzie nam obojgu będzie wygodnie.

Spojrzał na nią uszczęśliwiony i podniecony. Przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował, dotykając jej udami, tak iż zyskała dowód, jak bardzo jej pragnie. Ona pragnęła go równie gorąco. Ten pocałunek był całkiem inny, ponaglący i władczy. W końcu Marc oderwał się od jej ust i szepnął:

- Chodź do łóżka.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni. Na

dworze zapadał zmierzch. Marc pocałował ją z czułością i delikatnie zdjął jej bluzkę przez głowę. Nieśpiesznie rozpiął jej stanik i odsunął się, sycąc oczy, a ona rozkoszowała się jego zachwytem.

– Tego nie zdejmuj – powiedziała, dotykając łańcuszka z medalikiem. *Amor vincit omnia*.

Marc ucałował medalik, a potem jej piersi. Jęknęła z rozkoszy.

– Teraz twoja kolej – wyszeptała, ściągając z niego koszulę, chcąc poczuć jego nagą skórę.

Objęła go za szyję i pozwoliła, by rozpiął jej spodnie i zsunął je razem z majteczkami. Niecierpliwymi palcami mocowała się ze sprzączką u jego paska.

Nie wiadomo, jak i kiedy znaleźli się na łóżku. Marc obsypywał pocałunkami jej szyję, piersi i brzuch. Jego pieścizoty stawały się coraz bardziej gorączkowe. Wreszcie zawisł nad nią, podpierając się rękami. Lucy objęła go nogami. Pragnęła go, chciała, by to się stało już, teraz...

Odpoczywali potem w milczeniu, wiedząc, że nie ma słów, które oddałyby ich uczucia. Leżeli obok siebie, czując, jak stygnie pot na ich rozpalonej skórze. Marc trzymał ją za rękę, Lucy oparła mu głowę na ramieniu, szczęśliwa ponad wszelkie wyobrażenie.

– Kochanie, co ci jest? Czemu płaczesz? – zmartwił się, widząc jej łzy.

– To nic, naprawdę nic. Po prostu jestem szczęśliwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziła się wyspana. Za oknem śpiewały ptaki, w sypialni panował półmrok, zza rolet nieśmiało wyglądało słońce. Leżała wtulona w ciepłe ciało Marca. Wiedziała, że jest jeszcze wcześniej; zerknęła na tarczę budzika. Przyjemnie było nie musieć śpieszyć się do pracy.

Rozmyślała o tej nocy i o piosence Edith Piaf. „Niczego nie żałuję”. Ona także niczego nie żałowała. Przeżyła magiczną, niezapomnianą noc, ale co dalej? Czy mają szansę na wspólną przyszłość? Ziewnęła i przeciągnęła się błogo. Marc obudził się, przewrócił na bok i otoczył ją ramieniem, jakby przypadkiem dotykając piersi.

- Wcale nie śpisz – mruknęła.
- Nie, a ty? – spytał, delikatnie ją całując.
- Rób tak dalej, to na pewno nie zasnę...

– A zatem będziemy pracować na tym samym oddziale? – upewniła się później. – Ty na ranną, ja na popołudniową zmianę, więc od drugiej do wpół do piątej będziemy razem.

– Albo i dłużej. Chcą mnie wycisnąć jak cytrynę, a ja nie protestuję.

- Wiem, znam cię. No, idź się umyć i ubrać, ja

tymczasem zrobię śniadanie. Potem wyprawię cię do pracy i wrócę do siebie. Zobaczymy się w szpitalu.

– Po wczorajszej nocy dziwnie będę się czuł, pracując z tobą – odparł. – Bardzo dziwnie.

Godzinę później wykąpany, ogolony, najedzony i ubrany zegnał się z Lucy opatuloną jego szlafrokiem, tak długim, że musiała go podkasać, by ciągle go nie przydeptywać. W jego oczach i tak była najpiękniejsza. Pocałował ją i odsunął się z żalem.

– Do zobaczenia za parę godzin.

– Nie mogę się doczekać.

Gdy był w holu, przypomniał sobie o nieprzeczytanym liście od matki, więc wsunął go do kieszeni płaszcza. Słońce świeciło jasno, Marc czuł się szczęśliwy. Ostatnia noc była wspaniała. Wiedział, że jej nigdy nie zapomni. Podobnie jak nigdy nie zapomni Lucy Stephens.

W szpitalu nie było nawału pracy. Marc głównie wypisywał recepty i zakładał wenflony, potem pielęgniarki poprosiły go, aby zajrzał na oddział i rozstrzygnął, czy można podać pacjentce większą dawkę leków przeciwbólowych. Inna słyszała, że jest Francuzem i spytała, co sądzi na temat Prowansji; planowała z mężem wyjazd na wakacje i była pełna wątpliwości.

– Zakocha się pani w Prowansji, pani Kennedy – odparł Marc. – Wiosna to najlepsza pora. Wszystko kwitnie, upały jeszcze się nie zaczęły, nie ma wielu turystów.

– A co z dzieckiem? Czy to mu nie zaszkodzi?

– Będzie w siódmym niebie. Gdyby cokolwiek się stało, choć nie widzę ku temu powodów, zawsze może pani zwrócić się do tamtejszych lekarzy. Zapewniam, że francuscy specjaliści są znakomici.

– Och, nie to miałam na myśli! To znaczy, przecież pan jest Francuzem i...

– Wiem, wiem – odparł z uśmiechem i poklepał ją po ramieniu. – Urodzi pani dziecko i będzie śnić o wakacjach w Prowansji. Gwarantuję, że będą udane.

Czas powoli płynął. Na oddziale nic się nie działo, dzięki czemu Marc mógł zająć się robotą papierkową i spokojnie wypić kawę. Gdy pomyślał o Lucy, natychmiast stanęła mu przed oczami taka, jaką widział rano: potargana, bez makijażu, z błyszczącymi oczami i radośnie uśmiechnięta. Wyglądała pięknie, promiennie jak panna młoda.

Byłaby cudowną żoną. Znali się krótko, lecz wiedział, że najwyższa pora stawić czoło prawdzie: jest w niej zakochany. Oczywiście wzajemna fascynacja może z czasem minąć, nieraz to przeżywał, jednak szczerze wątpił, by stało się tak i tym razem. Z drugiej strony Lucy miała swoje życie, uwielbiała brylować w towarzystwie, otaczać się znajomymi, rodziną.

Gdy pił drugą filiżankę kawy, jego spojrzenie zatrzymało się na liście wystającym z kieszeni marynarki. Ciekawe, co nowego w Montreval? Matka nie miała najlepszych wiadomości: kolejni młodzi ludzie zniechęceni ciężką pracą i niskimi płacami wyjechali szukać szczęścia gdzie indziej. Pojawili się rządowi komisarze, który zadawali za dużo pytań,

przeszkadzali wszystkim dookoła i budzili w ludziach niepokój. Jesienne plony zapowiadały się słabiej niż ubiegłoroczne. Zamek wymagał remontu. Po tym suchym sprawozdaniu list stał się bardziej osobisty.

Nie chciałam Cię martwić i dlatego wcześniej ci o tym nie pisałam, ale dokuczają mi bóle w piersi. Lekarz skierował mnie do konsultanta z Lyons, załączam jego adres. Zadzwoń do niego, poprosiłam, aby rozmawiał z tobą otwarcie, niemniej wypowiedział się całkiem jasno: mam chore serce i z czasem mój stan się pogorszy. Nie mogę tyle pracować. Pół roku jakoś wytrzymam, ale zimy powinnam spędzać w jakimś bardziej gościnnym miejscu niż nasze Montreval. Mój synu, obawiam się, że niedługo przyjdzie ci wziąć rodzinne obowiązki na własne barki...

Marc zbladł i przeczytał list jeszcze dwa razy. Wiedział, że matka nie zwykła wpadać w przesadę. Jest chora. Termin jego powrotu do Montreval nagle się skonkretyzował. Wyjedzie latem, za około dziesięć miesięcy, tylko co z Lucy? Czy byłaby w Montreval szczęśliwa? Czy ma prawo prosić, by z nim pojechała?

Na szczęście musiał wracać do pracy i na rozmyślenia zwyczajnie nie zostało mu czasu. Po kilku godzinach poszedł do pokoju lekarskiego po sól fizjologiczną potrzebną do przepłukania wenflonu, i znowu pomyślał o Lucy. Usłyszał cichy trzask, ale dopiero na widok krwi płynącej spomiędzy palców

zorientował się, że za mocno ścisnął szklaną fiolkę. To nic, pomyślał, fiolek jest cały zapas, a sól fizjologiczna to nie trucizna.

Oplukał dłoń i nakleił plaster. Wprawdzie powinno się odnotowywać w specjalnej książce każdy, nawet najbliższy wypadek w pracy, niemniej co miał wpisać w rubryce „przyczyna zdarzenia”? „Zakochałem się”? Idiotyizm.

I nagle uświadomił sobie że musi zerwać z Lucy, choć miał wobec niej poważne zamiary – a może właśnie dlatego. Wiedział, że Lucy pojawi się w pracy za dwie godziny. Zadzwoił do kolegi i poprosił, aby go zastąpił, w zamian za to obiecał wziąć sobotnie popołudnie. Kolega chciał obejrzeć jakiś mecz, więc był zachwycony.

– Coś się stało, Marc? Chyba nic poważnego? – spytał kolega, przypominając sobie o dobrych manierach.

– Nie, dostałem list z domu. Mam parę spraw do załatwienia. Dzięki, że się zgodziłeś.

Zostawił Lucy wiadomość, poczekał na przyjście kolegi i wymknął się ze szpitala z nieprzyjemnym poczuciem, że na własne życzenie komplikuje sobie życie, ale decyzji nie zmienił. Wsiadł do samochodu, zatrzymał się przy pierwszej budce telefonicznej i zadzwonił do konsultanta z Lyons.

– Pańska matka jest silna, ale starzeje się jak my wszyscy. Montreval zimą to nie miejsce dla starszej pani chorej na serce. Przepisałem jej leki, kazałem dużo odpoczywać i tyle. Nie mówię, że jest bardzo źle, ale twierdzę, że najbliższa zima powinna być

ostatnią, jaką pańska matka spędzi w zamku. Dom nad morzem byłby znacznie lepszy.

– Dziękuję, doktorze. Dopilnuję wszystkiego.

Potem pojechał do parku, w którym poznał rodzinę Lucy, i usiadł pod drzewem, pod którym Lucy wówczas siedziała. Przede wszystkim powinien myśleć o Montreval. Najpóźniej latem przyszłego roku musi tam wrócić. Do tego czasu zrobi specjalizację i będzie mógł otworzyć wymarzoną klinikę, ale co z Lucy? Spotykać się z nią przez tych dziesięć miesięcy, a potem albo z nią zerwać, albo zabrać do Montreval? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że to drugie nie wypali.

Raz już próbował i doskonale pamiętał, jak to się skończyło. Naturalnie Lucy to nie Genevieve, ale Genevieve także była silną kobietą, lecz mimo to zimą wytrzymała w Montreval niecałe trzy tygodnie. Klamka zapadła: muszą się rozstać. Nie widział powodów, by odwlekać to, co nieuniknione – taka postawa byłaby niegodna mężczyzny, dowodziłaby tchórzostwa i braku honoru. Powie jej jeszcze dziś, choćby pękało mu serce.

Lucy była trochę rozczarowana, że Marca nie ma, ale koleżanka przekazała jej, że musiał coś pilnie załatwić i chce się z nią zobaczyć po pracy. Sądząc z jej zadowolonej miny, cały szpital wiedział już o ich romansie, jednak Lucy wcale to nie przeszkadzało.

Po zmroku Marc czekał na nią przed szpitalem. Podbiegła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go w usta. Nie przejmowała się, że ktoś

może ich zobaczyć. Chciała się pochwalić swoim szczęściem.

– Stęskniłam się za tobą – westchnęła. – Dobrze, że już jesteś.

Milczał, dziwnie spięty.

– Co się stało? Złe wieści z domu? Widziałam, że dostałeś list.

– List jak list – mruknął. – A w domu stara bieda.

– Zaglądałeś może do mieszkania? Zrobiłam zakupy i zostawiłam dla ciebie kolację. Zapiekanka z mięsem, przepis mojej matki, co prawda nie francuski, ale powinna ci smakować. – Nagle się przestraszyła. – Marc, co ci jest? Coś się stało?

– Musimy porozmawiać. – Ruszył przed siebie, nie patrząc na nią. – Chodźmy gdzieś, gdzie nie będziemy na widoku.

– To nie idziemy do ciebie? – spytała zaskoczona.

– Nie.

Zatrzymała się i zwróciła twarzą do niego.

– Marc! – Głos jej się załamał. – Masz mi natychmiast powiedzieć, co się stało. W tej chwili!

Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę ławki pod drzewem. Gdy usiedli, puścił ją.

– Słucham.

– To musi się skończyć. Musimy się rozstać. Stajemy się sobie... zbyt bliscy.

– Co? To jakiś kiepski żart?

– Przecież kiedy nasz romans się zaczynał, uprzedzałem cię, że nie jestem wolny, że z czasem wrócę do Montreal. I dlatego dzisiaj wyszedłem z pracy, musiałem się zastanowić. Nie chcę dłużej oszukiwać

ani ciebie, ani siebie, łudzić się, że bylibyśmy razem szczęśliwi.

– Przecież jesteśmy szczęśliwi! Nikt nie znaczył dla mnie tyle co ty!

– Ty dla mnie też, ale to nie ma przyszłości.

– Nie ma przyszłości? – Do Lucy zaczęło powoli docierać, że Marc nie żartuje. – A co z przeszłością? Zaciągnęłaś mnie do łóżka i przestałam cię interesować. Najnowszy podbój francuskiego doktora. Który to z kolei? To już mogę ci przysłać kartki na święta, tak?

– Lucy! Chcesz mnie zranić i wcale cię za to nie winię, ale nie krzywdź siebie. Nie myśl o tym w ten sposób.

– Zdradzisz mi, jeśli łaska, powody swojej decyzji? – spytała z wymuszonym spokojem. – Nie mogłeś mnie poinformować wczoraj, zanim się ze mną prześpałeś?

– Dostałem list od matki. Jest chora. W lecie muszę przejąć posiadłość. To nie jest miejsce dla ciebie i dlatego musimy się rozstać. Po co cierpieć bardziej, niż to konieczne?

– Więc uznałeś, że nie jestem godna zamieszkać w Montreval? Nie sądzisz, że wypadałoby zapytać mnie o zdanie? Jestem dorosła, mogę sama decydować o swoim życiu.

– Uwierz mi na słowo. Wiem, że jesteś twarda i nie lubisz przyznawać się do porażki, ale z czasem byś się poddała. Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa, a tak by się skończyło.

– Rozumiem – odparła cicho. – Czyli to koniec?

– Siłą rzeczy. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.

– Chyba żartujesz. Dobranoc, Marc. I nie idź za mną, trafię do domu. Zobaczymy się w pracy, ale mam prośbę: od jutra zwracaj się do mnie wyłącznie w sprawach służbowych.

Trzymała się, dopóki nie zamknęła za sobą drzwi. Wtedy rzuciła się na łóżko i rozplakała gorzko.

Nazajutrz w pracy dowiedziała się, że przeniesiono ją na porodówkę, w dodatku na nocną zmianę. Nie była tym zachwycona, lecz dzieci same decydują, kiedy przyjść na świat, ponadto szpital nocą zawsze działał na nią kojąco. Tydzień po owej smutnej rozmowie z Markiem czekała na serdeczną koleżankę, Marię Wyatt, po której miała objąć zmianę. W końcu Maria podeszła do Lucy, ostentacyjnie ocierając pot z czoła, i oznajmiła:

– Mam dla ciebie prawdziwe wyzwanie. Annie McCann, pierworódka w pierwszej fazie porodu. Wszystko przebiega prawidłowo, dziewczyna jest przejęta i przerażona. Zaliczyła szkołę rodzenia, przygotowała się, jak umiała, nasłuchiwała dobrych rad. Mąż jest przy niej. Powinno pójść jak z płatka.

– Więc w czym problem?

– Strasznie się nad sobą trzęsie. W ciągu ostatnich dwóch trymestrów przeczytała wszystkie możliwe podręczniki dla położnych, jakie wpadły jej w ręce, nakupiła poradników. Ona i jej mąż mają teraz wszystkie komplikacje świata w małym paluszku. Nawet mnie udało im się parę razy zaskoczyć. Jej mąż

na przykład spytał, czy jestem przygotowana na wypadek, gdyby wystąpił zator płynem owodniowym. No to ja mu na to, że jak żyję czegoś takiego nie widziałam, ale w razie czego wezwę lekarza.

– Przynajmniej będzie mi się ciekawie z nimi rozmawiało. Kto wie, może się czegoś nauczę? – zartowała Lucy.

Dwie godziny później już nie było jej do śmiechu. Annie nie była jeszcze taka zła, ale jej mąż, Wilfred, zachowywał się po prostu okropnie. Przeszłował wcześniej literaturę fachową i sporządził obszerne notatki. Nie spuszczał Lucy z oczu, co chwila zapisując coś w opasłym notesie, i zamięczał ją pytaniami.

– Czy to normalne na tym etapie porodu? Nie uważa pani, że przedwczesne?

– Najzupełniej normalne. Każdy poród przebiega nieco inaczej.

Naturalnie Lucy wypełniała kartę, lecz Wilfred musiał, rzecz jasna, prowadzić własne zapiski z przebiegu porodu. Dopytywał się o jej wnioski, ze śmiertelną powagą notował je w specjalnej rubryce i uśmiechał się do żony, powtarzając jak papuga:

– Zgodnie z naszym planem, kochanie.

Lucy miała ochotę warknąć, że to nie jego plan, lecz matki natury, ale tylko ugryzła się w język. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Lucy szybko nakryła Annie i zawołała:

– Proszę!

Obejrzała się i serce w niej zamarło: Marc.

– Można? – spytał.

– Oczywiście – odparła głosem, który nieznacznie tylko drżał.

– Jestem lekarzem, a ponieważ mam dzisiaj dyżur, pomyślałem, że warto by się przedstawić – zwrócił się do Annie. – Nie chciałbym państwu przeszkadzać...

– Nie przeszkadzasz – wtrąciła Lucy pośpiesznie. – To Annie McCann, przed chwilą zaczęła się druga faza porodu. Pełne rozwarcie. A to Wilfred, mąż Annie. Annie, Wilfredzie, przedstawiam wam doktora Duvalliera.

Wilfredowi oczy zabłyśły. Chwycił Marca za rękaw i powiedział uradowany:

– Bardzo mi miło, doktorze! Akurat mam kilka pytanek...

– Za chwilę, panie McCann. – Marc delikatnie uwolnił rękę. – Najpierw chciałbym zbadać pańską żonę, jeśli można. Annie, jak się pani czuje?

– No, tak się tylko zastanawiałam, czy powstrzymam się od parcia, żeby skoncentrować się na oddychaniu – wykrztusiła Annie. – No i boję się, że przeźmę mocno. Zależy nam na położeniu podłużnym płodu przy ułożeniu przygięciowym potylicowym.

Marc uniósł brwi i spojrzał na Lucy.

– Annie i Wilfred bardzo interesują się mechanizmem porodu – wyjaśniła powściągliwie. – Są niezwykle ocytani. Odrobili pracę domową, że się tak wyrażę, ale poród przebiega prawidłowo.

– Rozumiem – mruknął, oglądając kartę informacyjną. – Nie, Annie, nie przeźmę mocno. Proszę słuchać położnej i nie myśleć za dużo.

– Ogólnie rzecz biorąc, wszystko... – o mało nie powiedziała: „zgodnie z planem” – w porządku.

– To dobrze. – Marc uśmiechnął się do pacjentki.
– Annie, proszę się o nic nie martwić. Sama pani słyszała: wszystko jest w porządku. Jeszcze trochę i będzie pani mogła przytulić swoje maleństwo.

– Położnik winien liczyć na najlepszy scenariusz, lecz być przygotowanym na najgorszy – obwieścił Wilfred, ewidentnie posługując się cytatem z jakiegoś podręcznika.

– Jesteśmy przygotowani – zapewnił Marc. – Mam dyżur, zawsze możemy wezwać specjalistów. Nawet gdyby, w co wątpię, wystąpiły jakieś komplikacje, ze wszystkim sobie poradzimy. Będę do państwa zaglądał co pół godziny. Dobrze, Lucy?

– Oczywiście – odparła uprzejmie.

– Mogę cię prosić na chwilę, Lucy? – spytał, a kiedy wyszli na korytarz, spojrzał na nią z uwagą.
– Jak się sprawiają przyszli rodzice?

– Sympatyczni, ale nieco męczący – wyznała z westchnieniem. – Nie martw się, dam sobie radę.

– Wiem. Nie widziałem cię od tygodnia. Co słychać?

– A po co mamy się widywać? Pytasz, co słychać. Cóż, jakoś żyję.

– Lucy, proszę, uwierz mi, tak będzie najlepiej...

– Marc – wpadła mu w słowo – wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Powiedziałaś wszystko, co było do powiedzenia. Rozumiem twoją sytuację. Nie zgadzam się z twoją decyzją, ale to już nie ma znaczenia. Po prostu nie chcę tego słuchać.

– Przecież możemy się przyjaźnić...

– Przyjaźnić? – Spojrzała na niego ze zdumieniem. – Nie, Marc, nie możemy. Byliśmy kochankami. Wiem, że było, minęło, ale przyjaciółmi nie będziemy nigdy. Co najwyżej znajomymi z pracy, chociaż wołałabym, żebyśmy nie pracowali razem. I jeszcze jedno: proszę cię, trzymaj się ode mnie z dala. Tak będzie mi łatwiej.

Milczał długo.

– Jasno się wyraziłaś. Postaram się w miarę możliwości respektować twoje życzenia.

Kiedy sobie poszedł, wsunęła rękę pod kołnierz fartucha i ścisnęła złoty medalik. Miłość wszystko zwycięży, bzdura!

A jednak cieszyła się, że Marc jest niedaleko. Raz czy dwa razy pojawił się na chwilę, by sprawdzić, co u Annie i Wilfreda, wobec Lucy ograniczając się do zdawkowego uśmiechu. Poród przebiegał sprawnie, lecz pod koniec Wilfred zaczął wpadać w panikę. Lucy wezwała drugą położną i rzuciła mimochodem:

– Może lekarz by tu zajrzał w wolnej chwili? Tak na wszelki wypadek?

Marc pojawił się w chwili, gdy Wilfred wisiał Lucy nad głową i mamrotał przerażonym głosem:

– Na moje oko to się nie powinno aż tak rozciągać. Może należałoby jej zrobić epizjotomię? Annie, bądź dzielna, jestem przy tobie.

Marc odciągnął Wilfreda na bok i oznajmił kategorycznym tonem:

– Proszę stanąć przy żonie i trzymać ją za rękę.

W ten sposób najbardziej jej pan pomoże. Wszystko jest w porządku.

– Ale pomyślałem, że może nacięcie...

– Zgadzą się z położną co do tego, że nie jest ono konieczne. Jeśli pan chce, zostaną do końca porodu. Ale to pańska rola dodać żonie otuchy.

– Wilfred, zaczęło się! – krzyknęła Annie. – Wilfred, czuję główkę!

– To chłopiec – oznajmiła po chwili Lucy.

Świeżo upieczony tatuś zachwiał się i zemdlął. Marc podtrzymał go i ułożył na podłodze.

– Wiedziałam, że nie ma się czego bać! – oznajmiła Annie, tuląc w ramionach synka.

Marc ocucił Wilfreda i wymknął się po angielsku. Lucy zobaczyła go dopiero tydzień później.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tego wieczoru nie mogła zasnąć, jak zwykle po serii nocnych dyżurów. Odnosiła wtedy wrażenie, że jej organizm kompletnie się rozregulował. Teraz oto ma przed sobą trzy dni wolnego, lecz zupełnie nie wie, jak je wykorzystać. O drugiej w nocy nadal przewracała się z boku na bok, czując coraz większą pokusę, by zapalić światło i sięgnąć po książkę. Wiedziała, że powinna się wyspać, jednak tęskniła za Markiem.

Aż podskoczyła, kiedy w ciszy rozległo się brzęczenie telefonu. Kto dzwoni o takiej porze i o co może chodzić? Albo stało się coś złego, albo ktoś pomylił numer, albo to jakiś niewybredny kawał. Odebrała telefon z duszą na ramieniu, ale usłyszała w słuchawce głos Marca.

– Lucy? Potrzebuję pomocy. Wiem, że nie mogę liczyć na twoją przyjaźń, ale nie znam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić.

– Prosisz mnie o pomoc w środku nocy? – zdziwiła się. – Czego potrzebujesz?

– Pamiętasz, jak ci opowiadałem o mojej kuzynce Simone? O tej, co tak rozrabia? Otóż dwa dni temu przyjechała z Manchesteru i wynajęła sobie mieszkanie. Przed chwilą do mnie dzwoniła. Jest

w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży. Prosiła, żeby przyjechał, bo chyba zrobiła coś głupiego. Nałykała się jakichś tabletek i teraz boi się, że wzięła ich za dużo. Chcę do niej jechać, ale wolałbym nie jechać sam.

– Nałykała się tabletek? – Lucy próbowała pozbierać myśli. – Próba samobójcza czy przedawkowanie przez przypadek? Marc, wyślij do niej karetkę. Tu potrzeba specjalisty.

– Nie mogę, to tylko pogorszy sytuację. Jest bliska hysterii.

– Lepsza histeria niż śmierć.

– Owszem, ale jak ją znam, ratownicy pocałowali by tylko klamkę. Mówiła, że były u niej dwie położne, ale wyrzuciła je z domu, zanim miały okazję ją zbadać. – Milczał chwilę. – Muszę coś zrobić, nawet jeśli to kolejny z jej głupich kawałów.

– Ale czemu ja mam brać w tym udział?

– Znam cię. Działasz na ludzi kojąco. Przy mnie Simone robi się jeszcze bardziej wojownicza. Zresztą nieważne, to był głupi pomysł. Przepraszam, że ci zawracałem głowę. To się więcej nie powtórzy.

– I tak już nie zasnę. – Lucy westchnęła ciężko. – Pojadę, skoro o to prosisz. Czekać na dole za jakieś dziesięć minut, dobrze?

– Będę czekał – odrzekł po dłuższej chwili i połączenie zostało przerwane.

Oplukwała twarz, umyła zęby i szybko się ubrała. Po namyśle złapała torbę medyczną i zbiegła na dół. Marc stał przy samochodzie.

– Jedna uwaga – oznajmiła, dygocząc z zimna,

zanim wsiadła do czarnego mercedesa. – Jest środek nocy, a my jedziemy do pacjentki. To nic osobistego.

– Niech tak będzie.

– Tymczasem trochę się prześpię. Obudź mnie, jak będziemy dojeżdżać.

– Jak sobie życzysz.

Siedziała z zamkniętymi oczami, pogrążona we wspomnieniach. Chwilę później Marc powiedział cicho:

– Jeśli śpisz, to się lepiej obudź. Za pięć minut będziemy na miejscu.

– Nie śpię. Nie chcę się wtrącać w twoje rodzinne sprawy, ale potrzebuję więcej informacji.

– Naturalnie. Simone to moja kuzynka, córka młodszej siostry mojej matki. Jest jedynaczką i czarną owcą w rodzinie. Bardzo ją lubię, choć czasem działa mi na nerwy. Rozpieszczaliśmy ją od małego i jakoś trudno mi się od tego odzwyczaić. Genialnie mną manipuluje.

– A ojciec dziecka?

– Nie pytaj. Zniknął jak kamfora.

Kiedy Marc zaparkował samochód przed luksusowym apartamentowcem, mruknęła:

– Raczej nie jest ubogą studentką.

– Nasza rodzina do ubogich nie należy – odparł, uśmiechając się powściągliwie. – Na swoje nieszczęście, Simone dysponuje własnym funduszem powierniczym.

Nacisnął dzwonek i nachylił się nad domofonem:

– Simone, tu Marc. Otwórz mi.

– Czemu nie rozmawiasz z nią po francusku? – zdziwiła się Lucy.

– Jej angielszczyzna jest tak dobra jak moja. Celowo nie mówi po francusku, żeby dokuczyć rodzinie. Tym lepiej, nie będę musiał ci tłumaczyć.

Gdy dotarli na piętro, zastali w korytarzu otwarte drzwi. Weszli do pokoju, który tonął w półmroku. Lucy zapaliła światło.

– Za jasno! – zaprotestował ktoś płaczliwie.

– Po ciemku nie da się pracować – odparła chłodno Lucy. – Nazywam się Lucy Stephens, jestem położną.

Opuściła rolety w oknach i rozejrzała się wokół. Salon był duży i kosztownie urządzone, ale strasznie zabałaganiony. Wszędzie poniewierały się ubrania, partytury i gazety, każda pozioma powierzchnia była zastawiona kubkami, filiżankami i szklankami. Na środku pomieszczenia, na wielkiej skórzanej kanapie, w wymiętej pościeli leżała filigranowa dziewczyna o długich jasnych włosach i olbrzymich błękitnych oczach.

– Ty też będziesz się na mnie wściekać? – spytała Simone. – Marc zawsze się wkurza.

– Położne nie wkurzają się na pacjentki, mamy oficjalny zakaz. Lepiej cię zbadam.

– Nie zapraszałam ciebie, tylko Marca!

– Ale przyjechałam ja. I jak widzę ten śmietnik, to myślę, że dobrze zrobiłam – oznajmiła, wskazując opróżnioną do połowy butelkę wina, brudny kieliszek, miseczkę z resztką orzeszków i dwie otwarte buteleczki z tabletkami.

– Lucy – odezwał się Marc niepewnie – może być...

– Może byś poszedł do kuchni i zrobił nam herbaty – powiedziała kategorycznym tonem. – Zawołam cię, gdybyś okazał się potrzebny.

Simone patrzyła na nią bazylijszkowym wzrokiem.

– Jesteś terrorystką!

– Jestem położną, już ci mówiłam. Chcę zadbać o ciebie i o twoje dziecko. Jakie tabletki wzięłaś? Kiedy i ile? A ile wypijaś? Nie histeryzuj, tylko odpowiadaj na pytania.

Simone wytrzeszczyła oczy, ale trochę spotulniała.

– Niedużo, może pół butelki. Nie mogłam zasnąć. Lucy, co ty wiesz o moim życiu! Jestem nieszczęśliwa, przez ten wielki brzuch nie mogę się wcisnąć we własne ciuchy, nie mogę chodzić na imprezy, źle śpiam i...

– Życie to nie bajka – odparła Lucy cierpko, oglądając buteleczki z tabletkami. Okazało się, że w jednej było żelazo, a w drugiej łagodny środek przeciwbólowy. – Pytałam, ile tego połknęłaś?

Simone zrobiła posępną minę.

– Nie wiem, ze dwie, bo źle się czułam. Potem wzięłam jeszcze kilka.

– Niczego innego nie brałaś?

– Nie. Masz mnie za idiotkę? Wiem, co mówię.

– Owszem, mam. No, nic wielkiego by się nie stało, nawet gdybyś połknęła całe opakowanie. Tym razem ci się upiecze, nie musimy cię wieźć na płukanie żołądka.

Simone zrobiła przerażone oczy.

- Żadnych innych tabletek nie brałam, słowo!
- No dobrze. Teraz cię zbadam. Gdzie masz kartę ciąży?

Zmierzyła Simone ciśnienie i tętno – były w normie.

- Potrzebuję próbki moczu. Idź do łazienki, poczekam.

Simone zrobiła cierpiętniczą minę i westchnęła, lecz zastosowała się do polecenia i chwilę później wróciła z plastikowym pojemnikiem. Lucy przeprowadziła badania na obecność białka w moczu, poziomu cukru i ciał ketonowych – wszystko w normie.

- Połóż się na plecach, podciągnij koszulę i postaraj się leżeć bez ruchu.

Delikatnie zbadała brzuch Simone, próbując określić ułożenie płodu, po czym, przy pomocy stetoskopu Pinarda, osłuchiwała jego tętno. Zauważyła, że po wyjściu Marca Simone wyraźnie się uspokoiła. Zanotowała wyniki badań i porównała je z wcześniejszymi.

- Wygląda na to, że ciąża przebiega prawidłowo – oznajmiła, ale w dalszym ciągu coś ją niepokoiło.
- Simone, zegnij nogi w kolanach. – Zbadała dziewczynę jeszcze raz i oznajmiła: – W porządku. Przykryj się. Muszę pomówić z twoim kuzynem.

- No i co? – spytał Marc, gdy weszła do kuchni i starannie zamknęła za sobą drzwi.

– Fałszywy alarm. Nie ma powodu do niepokoju. Te pigułki to żelazo i lek przeciwbólowy, nie wzięła tego dużo. Po prostu się nudziła, a skoro ona nie śpi, to czemu ty miałbyś spać. Wiesz, że z tym odprawianiem położnych to było kłamstwo?

– Domyślałem się. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Sądzę, że mogły coś przeoczyć. Mam wątpliwości co do ułożenia płodu i moim zdaniem powinniśmy zawieźć Simone do szpitala. Jeśli się nie mylę, może dojść do wypadnięcia pępowiny. Powinna pójść na USG i zgłosić się do konsultanta oddziału położniczego.

– Jesteś pewna?

– Nie, po prostu przezorna. Gdyby to była moja pacjentka, od razu umówiłabym ją na konsultację. Ja pracuję od niedawna, ty robisz specjalizację, powinien ją obejrzeć ktoś bardziej doświadczony. Wiem, że wypadnięcie pępowiny zdarza się bardzo rzadko, ale jeśli nie zabierzemy jej do szpitala, teoretycznie mogłaby stracić dziecko.

– Zrobię tak, jak mówisz – odparł po namyśle. – Simone pojedzie do szpitala, ale nie na mój oddział. Zaraz zadzwonię do szpitala w Castle Rock i załatwię, żeby ją przyjęli, tam jest najbliżej. – Wyraźnie się zasępił. – Chyba powinienem jej powiedzieć.

– Jeśli chcesz, ja to zrobię. Może lepiej, żeby usłyszała to ode mnie. Tymczasem wezwij karetkę – poprosiła i wróciła do salonu. – Simone, nie denerwuj się, ale uważamy z Markiem, że powinnaś jechać do szpitala.

– Przecież dobrze się czuję – odparła Simone z pretensją w głosie.

– Marc dzwoni po karetkę. Chodź do sypialni, pomogę ci się ubrać, a potem spakujesz trochę rzeczy.

– Ale ja nie chcę! Jestem senna i...

– Masz się ubrać i spakować, chyba że wolisz

jechać w nocnej koszuli! Powiem Marcowi, że zaraz będziesz gotowa.

O dziwo, Simone nie protestowała. Spakowała się szybko i wróciła do salonu.

– I ty na to pozwalasz! – burknęła, gdy Marc stanął w progu. – Ostatni raz cię poprosiłam o pomoc.

Lucy uśmiechnęła się pod nosem, widząc jego minę.

– Jestem przekonany, że tak będzie dla ciebie najlepiej.

– Ale będziecie przy mnie przez cały czas, prawda? – zapytała Simone. – Nie poradzę sobie sama.

– Nikt za ciebie dziecka nie urodzi – odparła spokojnie Lucy.

– Simone, nie możemy nadużywać uprzejmości Lucy – tłumaczył Marc. – Zostanę przy tobie, dopóki nie załatwimy wszystkiego w szpitalu, ale Lucy powinna wracać do domu. Jest środek nocy. Lucy, weź mój samochód.

– Przecież jest ci potrzebny, najwyżej wrócę...

– Proszę! Będę miał mniejsze wyrzuty sumienia. Narobiłem ci tyle kłopotów – odpowiedział, podając jej kluczyki.

– No dobrze. Skoro tak mi ufasz...

Przygryzł usta, ale nie odezwał się. Lucy zaparkowała mercedesa pod jego domem, a kluczyki wrzuciła do skrzynki na listy. Kiedy znalazła się w swoim mieszkaniu, na dworze zaczynało świtać. Zasnęła, ledwie przyłożyła głowę do poduszki.

Następny poranek przypominał kiepską komedię.

Lucy myła włosy, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Pewna, że to sąsiadka, której obiecała pożyczyć książkę, otworzyła w rozchełstanej koszuli nocnej i z głową owiniętą ręcznikiem. Na domiar złego korytarzem przechodziły akurat dwie koleżanki ze szpitala. Na widok Marca uśmiechnęły się znacząco, a jedna z nich uniosła brwi i puściła do Lucy oko. Tej ostatniej natychmiast popsuł się humor.

– Nie spodziewałam się ciebie! – mruknęła ze złością.

– Przepraszam. Widzę, że wybrałem niefortunny moment. Może przyjdę później? Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Właż, skoro już jesteś – burknęła. – Ale tylko na chwilę. Wybieram się do rodziców.

– To dla ciebie – odparł, wręczając jej bukiet kwiatów – z wyrazami głębokiej wdzięczności. Rano dotarło do mnie, jak nieuprzejmie się zachowałem, przepraszam za ten telefon w środku nocy. To przez Simone.

– Bardzo ładne, włożę je do wody.

– Jeszcze jedna sprawa. Nie powinno się leczyć własnej rodziny. A co do Simone, miałaś rację. Rzeczywiście grozi jej wypadnięcie pępownicy. Zatrzymają ją w szpitalu do czasu porodu. Dziękuję ci w imieniu własnym i całej mojej rodziny. Nie wiem, jak ci się odpłacimy.

– Jestem położną, taką mam pracę.

– To może pozwolisz, żebym opowiedział ci o Simone? Oczywiście o ile zgodzisz się mnie wysłuchać.

– Mów. Usiądź na łóżku, a ja dosuszę włosy.

– Simone przyjechała do Anglii, bo dostała się na akademię muzyczną. Może i ma jakiś talent w tej dziedzinie, ale jest potwornie leniwa. Pokłóciła się z rodzicami i całkowicie od nich odcięła. Ma fundusz powierniczy, więc nie jest od nich zależna finansowo. – Zamilkł na chwilę. – Dalszy ciąg tej historii jest dość banalny. Zaszła w ciążę, a rodzinę powiadomiła o tym fakcie dopiero wtedy, kiedy była w szóstym miesiącu. Oznajmiła, że ojca dziecka nie kocha, ale nie zamierza wracać do domu, chce sama decydować o swoim losie. Jej ojciec napisał do mnie list, w którym błagał mnie, żebym jakoś jej pomógł. Oczywiście obiecałem zrobić, co w mojej mocy.

– I odtąd masz z Simone skaranie boskie?

– Niestety. Ale rodzina to rodzina. Ty byś odmówiła?

– Chyba nie – odparła Lucy szczerze.

Marc minął po drodze kilka znajomych pielęgniarek, witając je wymuszonym uśmiechem. Zastanawiał się, ile Lucy im powiedziała, jednak doszedł do wniosku, że nic. To nie byłoby do niej podobne. Chciał być sam, więc pojechał do parku nad rzeką. Usiadł na szczycie stromych schodków i patrzył na rzekę. W górę nurtu płynął wielki tankowiec, przy brzegu kołysało się parę jachtów, w wodzie odbijały się srebrne kominy rafinerii. Często tu przyjeżdżał. Wpatrywał się w czerń wody, w migotliwe światła na drugim brzegu, ale wcale nie czuł się lepiej.

Przecież nie może zabrać Lucy do Montreval. To był jego dom i chciał tam pracować, lecz nie zniósłby

myśli, że Lucy jest nieszczęśliwa. Może pozna jakąś młodą Francuzkę, której do szczęścia wystarczy tytuł hrabiny de Montreval, choć był pewien, że żadna kobieta nie zastąpi mu Lucy. Wzruszył ramionami. Już wiedział, co zrobi.

Oczywiście czasami widywali się w szpitalu. Lucy w dalszym ciągu pracowała na oddziale porodowym, Marca jednak przenoszono z miejsca na miejsce. Mimo to zawsze był pod ręką, gdy potrzebowała konsultacji, zatem nadal kontaktowali się ze sobą. Gdy natomiast wpadali na siebie w korytarzu, kończyło się na wymianie uśmiechów i powściągliwym „dzień dobry”.

– Co jest między tobą a Markiem Duvallierem?
– spytała któregoś dnia Maria.

– Nic, a co ma być?

– Dziwnie się zachowujecie. Ta wyszukana uprzejmość... Widać, że albo coś między wami było, albo właśnie się wykluwa. Wobec innych lekarzy jesteś zupełnie inna, znacznie mniej oficjalna. Czym Marc ci podpadł?

– Niczym – ucięła Lucy.

Musiała przyznać, że Marc jest świetnym lekarzem. Miał lepszy kontakt z pacjentami niż inni medycy przed specjalizacją, może dlatego, że był od nich trochę starszy. Owszem, znali się na swoim fachu, ale z ludźmi Marc radził sobie znacznie lepiej.

Zaczęli częściej ze sobą rozmawiać, kiedy na oddział porodowy trafiła Astrid Duplessis. Marc

utrzymywał z nią kontakt, dzięki czemu Lucy wiedziała, że Kevin jest przerażony, ale i zachwycony perspektywą ojcostwa. Astrid zamieszkała u jego rodziców, którzy skontaktowali się z jej rodziną i pojawiła się szansa, że Astrid pogodzi się z bliskimi.

– Mówiłem ci, że miłość wszystko przezwycięży – stwierdził Marc ze smutnym uśmiechem.

– Nie wierzyłam w to, ale cieszę się, że nie miałam racji.

Poszła odwiedzić przyszłych rodziców.

– Będę przy porodzie – powiedział Kevin – chociaż trochę się denerwuję.

– Zwykle nie ma czym – zapewniła Lucy. – Stań przy Astrid i trzymaj ją za rękę. – Nie spodziewała się komplikacji. – Doktor Duvallier też się do was wybiera – dodała. – To dziecko cieszy się jego szczególnymi względami.

– Gdyby nie on, nie byłibyśmy razem – stwierdził Kevin. – Jeśli to będzie chłopiec, damy mu na imię Marc.

– To bardzo miło, ale teraz muszę osłuchać Astrid. – Przytknęła końcówkę stetoskopu Pinarda do brzucha ciężarnej. – Serduszko ma jak dzwon.

Kiedy dwie godziny później pojawił się Marc, przywitani się jak zwykle: uprzejmym uśmiechem.

– Pomyślałem, że odwiedzę swych przyjaciół – oznajmił. – Zakładam, że nie ma żadnych problemów?

– Nie, ale zostań chwilę, porozmawiaj z nimi.

Komplikacje zaczęły się jakąś godzinę później. Równocześnie rodziło kilka pacjentek i wszystkie

położne były zajęte, więc Lucy nie mogła liczyć na asystę, jednak nie przejmowała się tym zbyt. Na miejscu był Marc i zawsze mogła poprosić go o pomoc. Kazała Astrid przeć, aż wreszcie pokazała się główka dziecka.

– Jeszcze troszkę, Astrid! – poprosiła Lucy.

Nagle coś ją zaniepokoiło. Gdy zerknęła na Marca, stwierdziła, że on także zauważył, iż kiedy Astrid przestała przeć, główka nieznacznie się cofnęła. Marc spojrzał na nią pytająco.

– Sprawdzisz, czy może ktoś jest wolny? – zapytała ze spokojem, by nie straszyć Astrid. – Możliwa dystocja barkowa.

Po jego wyjściu łagodnym tonem zwróciła się do rodzącej:

– Musimy cię inaczej ułożyć. Zsuń się trochę, Astrid. – Podała dziewczynie znieczulenie miejscowe i przeprowadziła zabieg nacięcia krocza, po czym ją zbadała. Wszystko jasne: dziecko się zaklinowało, główka przeszła, ale barki były po prostu za szerokie.

Wiedziała, że dystocja barkowa zdarza się rzadko, może raz na pięćset urodzeń. Dotąd zetknęła się tylko z jednym podobnym przypadkiem, na pierwszym roku studiów, ale wtedy nie musiała o niczym decydować.

– Ja przesunę główkę w dół – oznajmiła Lucy, kiedy Marc wrócił – a ty delikatnie uciskaj uwięzione ramię.

Pracowali w milczeniu. Może zmiana kąta spowoduje, że dziecko jakoś przejdzie? Niestety, tak się nie stało.

– Próbujemy rotacji? – spytał Marc cicho.

Niestety, próba ta nie zakończyła się sukcesem. Lucy uśmiechnęła się do Astrid i powiedziała spokojnie:

– Astrid, mamy mały kłopot. Dziecko nie śpieszy się na świat, musimy je troszkę zachęcić.

Zapomniała, że Astrid słabo zna angielski: zrozumiała tylko, że dzieje się coś złego i wpadła w panikę. Odpowiedziała potokiem słów po francusku i uspokoiła się dopiero wówczas, gdy Marc wziął ją za rękę i powiedział parę słów łagodnym tonem, który na Lucy także podziałał kojąco.

Mijały minuty. Lucy zdołała wsunąć dłoń pod plecy dziecka, próbując dosięgnąć drugiego barku. Znalazła przedramię i właśnie zamierzała przyciągnąć je do piersi dziecka, kiedy do sali wpadł Mike Donovan z asystą.

– Trzymam je za łokieć! – Spojrzała pytająco na Mike'a, który obmacał brzuch rodzącej. – Może wolisz sam...?

– Dokończ, Lucy, dobrze ci idzie – odparł i podszedł do Marca, który podtrzymywał śmiertelnie wystraszonego Kevina. – Wszystko będzie dobrze, młody człowieku.

W tej samej chwili Lucy zdołała przesunąć przedramię dziecka.

– Pomóż mi – poprosiła Marca. – Możesz delikatnie pociągnąć główkę do góry?

– Jeszcze chwilę tu zostanę, jeśli pozwolicie – wtrącił Mike. – Ale teraz jest już z górki.

Niebawem urodził się śliczny, zdrowy chłopczyk,

w którym rodzice zakochali się od pierwszego wejścia.

Lucy i Marc pili kawę w pokoju pielęgniarek. Po ostatnich przeżyciach nie umieli zdobyć się na wcześniejszą powściągliwość. Stworzyli zgrany zespół, rozumieli się bez słów, być może uratowali dzisiaj jedno życie, i to cudowne uczucie zbliżyło ich do siebie. Może na krótko, ale zawsze.

– Dobrze się nam razem pracuje – powiedziała Lucy.

– Zawsze dobrze się rozumieliśmy.

Gdy wstał, na jego twarzy ponownie pojawił się wyraz obojętności, który Lucy tak dobrze знаła.

– Lepiej pójde sporządzić dokumentację. Czasami nie czuję się lekarzem, tylko pisarczykiem.

Lucy także wstała i poszła do łazienki. Oczy piekły ją od łez. Przez krótką chwilę było zupełnie tak, jak gdyby nigdy się nie rozstali. Czowała się wtedy tak cudownie...

Trzy dni później wieczorem Marc do niej zadzwonił.

– Pomyślałem, że może cię to zainteresuje. Wczoraj w nocy Simone zaczęła rodzić, grubo przed terminem, i przeszła cesarkę. Ale ma córeczkę i obie czują się dobrze. Zamierza dać jej na imię Lucille.

– To ładne imię.

– Telefony się urywają, ja robię za pośrednika między nią a jej rodziną, próbuję ich jakoś pogodzić. Simone dalej mówi, że nie chce widzieć rodziców.

– Po porodzie kobiety zawsze są trochę rozstrojone. Daj jej czas.

– Tak. – Milczał chwilę, a Lucy wyobrażała sobie, jak się męczy. – Simone pytała, czy nie mogłabyś jej odwiedzić, porozmawiać z nią trochę.

– Zajrzę do niej, jeśli chcesz. Wiem, że masz z nią krzyż pański, ale ja ją polubiłam.

– Ona ciebie też.

– Jeszcze jedno: nie chcę, żebyśmy na siebie wpadli.

– To zrozumiałe. Może pojutrze wieczorem?

Uzgodnili, że Lucy odwiedzi Simone, ale Marc nie będzie próbował się z nią tam zobaczyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lucy odwiedzała czasem Castle Rock, ale nigdy w tym szpitalu nie pracowała. Dziwnie było wejść na oddział noworodkowy jako gość z kwiatami w ręku, zamiast pomagać uwijającym się jak w ukropie położnym i pielęgniarkom. Czowała się niezręcznie.

– Ja z wizytą do Simone Romilly – powiedziała do śpieszącej gdzieś pielęgniarki.

– Pani z rodziny?

– Jestem położną, tak się poznałyśmy. – Pielęgniarka spojrzała na nią ze współczuciem i wskazała przeciwny koniec oddziału. – Powodzenia! Będzie go pani potrzebowała, ale pani ją zna, więc po co o tym mówię?

Lucy ukryła uśmiech. Widać, że Simone zbytnio się nie zmieniła. Lucy zauważyła tylko jedną znaczącą zmianę: nie była już taka zapatrzona w siebie, za to świata nie widziała poza swoim maleństwem.

– Cześć, Lucy! Popatrz tylko na moją córeczkę! Czyż to nie najpiękniejsze dziecko na świecie?

– Wygląda całkiem ładnie – przyznała Lucy, tak-
sując noworodka wzrokiem.

– Dałam jej na imię Lucille na twoją cześć.

– Na moją? A dlaczego nie kogoś z rodziny? Myślałam, że we Francji jest taki zwyczaj.

– Bo to ty przy mnie wtedy byłaś.

– Przecież oni chcieli ci pomóc – przypomniała Lucy. – Musicie się kiedyś pogodzić, chyba to rozumiesz? Lucille powinna mieć dziadków.

– Hm. Zobaczymy. Mam mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić. Ale interesuje mnie co innego. – Spojrzała na Lucy przenikliwym wzrokiem. – Cemu Marc przyjechał akurat z tobą?

– Pracujemy razem. No i wiedział, że... jestem pod ręką.

– Czyżby? Długo się znacie?

– Raptem parę tygodni. Za to ty, jeśli dobrze rozumiałam, znasz go od urodzenia.

– Tak. Co dziwne, jego matka mnie lubi. Ciotka Clotilde. Zaprosił cię do Montreval?

– Nie – odparła Lucy głucho. – Ale nieraz o nim opowiadał i nie chciałabym tam jechać.

– Mnie się Montreval podoba, ale mało kto spoza rodziny powie ci to samo. Nie dziwię się, że cię nie zaprosił po tym, jaki numer wycięła mu ta diablica Genevieve.

– Diablica Genevieve? – spytała Lucy zaintrygowana.

– Przyjechała na święta Bożego Narodzenia. Marc był nią zauroczony. Ona nim też, przynajmniej na początku. Może uśmiechał jej się tytuł hrabiny albo myślała, że poszaleje tam sobie na nartach. Ale Montreval to nie kurort, po zapadnięciu zmroku nie ma tam zupełnie nic. Wytrzymała trzy tygodnie, potem spakowała walizki i pojechała na dworzec taksówką. Nawet nie pożegnała się z Markiem.

Zostawiła mu tylko kartkę, że to nie miejsce dla niej.

– Rozumiem – mruknęła Lucy. To wiele wyjaśniło.

– Potem zginął Auguste, a Marc nie mógł sobie tego wybaczyć.

– Jak to? – zdziwiła się.

– To dlatego rzucił medycynę na trzy lata – ciągnęła Simone. – Po śmierci Auguste’a Marc chciał zająć się posiadłością, uważał, że to jego obowiązek.

Simone nagle posmutniała.

– Auguste uwielbiał tę dolinę, każdy skrawek tej ziemi. Był tam szczęśliwy, zarządzał wszystkim i uwielbiał to robić. Marc miał wyjechać i skończyć medycynę. Któregoś lata pracowali traktorem na zboczu, Auguste odesłał Marca do wioski, bo jakaś kobieta zaczęła rodzić. – Po policzku Simone spłynęła łza. – Traktor się przewrócił i przygniół Auguste’a, dosłownie go zmiażdżył. Ale nie umarł od razu. Gdyby Marc był na miejscu, może zdołałby go uratować.

Lucy pokręciła głową.

– To dlatego Marc chce wrócić do Montreval?

– Duvallierowie mieszkają tam od pięciu stuleci. Oczywiście, że Marc tego chce. Teraz posiadłością zajmuje się jego matka, ale zawsze było wiadomo, że Marc ją zastąpi. Po prostu musi.

– Rozumiem.

Żałowała, że Marc o niczym jej nie powiedział. Może wówczas jego decyzja wydałaby się jej bardziej zrozumiała, aczkolwiek w dalszym ciągu niewybaczalna. Mimo to zaczynała mu odrobinę współczuć.

– Lepiej już pójdę – mruknęła. – Odwiedzę cię za parę dni.

– Przyjdiesz z Markiem?

– Nie sądzę.

Tydzień później Jenny Donovan wezwała Lucy na dywanik.

– Usiądź – powiedziała. – Może się czegoś napijesz?

Lucy naląła sobie kawy, z ciekawością zerkając na Johna Benneta, który przyglądał się jej w milczeniu.

– Jesteś u nas przeszło rok – odezwała się Jenny.

– Jak ci się podoba praca położnej?

– Bardzo, ciągle uczę się czegoś nowego – odparła Lucy.

– Nabrałaś doświadczenia?

– Można tak powiedzieć – przytaknęła Lucy, myśląc o ostatnich miesiącach.

– Wszyscy cię chwalą – podjął John. – Przynosisz chlubę naszemu oddziałowi. A z innej beczki: dobrze znasz Simone Romilly?

– Kuzynkę doktora Duvalliera? Widziałam ją dwa razy w życiu.

– Za to raz w niecodziennych okolicznościach, jeśli dobrze słyszałem – uzupełnił John. – W każdym razie zrobiłaś na niej wrażenie.

– Czemu właściwie o niej rozmawiamy? – spytała zbity z tropu.

– Dzwonił do mnie konsultant z Castle Rock – wyjaśnił John, splatając palce. – To mój znajomy, oczywiście rozmawialiśmy nieoficjalnie. Simone

miała ciężki poród, ale fizycznie doszła już do siebie. Gorzej jest z jej psychiką. Sytuacji nie poprawia niekończący się spór z rodziną. Kontaktowała się z nią opieka społeczna, ale nic to nie dało. Konsultant boi się ją wypisać, a na jej miejsce czekają już inne pacjentki.

– Simone lubi stawiać na swoim – przyznała Lucy.

– O tak, panna Romilly to niezłe ziółko. Ostatnio poinformowała konsultanta, że jest skłonna opuścić szpital, jeśli pojedzie nie do rodziców, ale do domu ciotki, matki doktora Duvalliera. Najwyraźniej obie panie się lubią. Pani Duvallier zgodziła się przyjąć Simone pod swój dach i roztoczyć nad nią opiekę.

– Czyli problem sam się rozwiązał – zauważyła Lucy. – Tylko dlaczego mi to mówisz?

– Panna Romilly twierdzi, że boi się latać samolotem. Wypisze się ze szpitala pod warunkiem, że Marc zawiezie ją do pani Duvallier samochodem, a ty pojedziesz z nimi i zaopiekujesz się dzieckiem.

– Bardzo mi przykro – odparła uprzejmie, choć była wściekła. – Przekaż doktorowi Duvallierowi, że jego propozycja mnie nie interesuje. Niech znajdzie dla swojej kuzynki inną damę do towarzystwa.

– Ta propozycja nie wyszła od doktora Duvalliera. Jeszcze z nim nawet nie rozmawiałem. Pomysł podsunął mi kolega z Castle Rock. Uważa, że tak byłoby najlepiej dla panny Romilly i jej dziecka, a przy okazji na oddziale zwolniłoby się miejsce. Obiecałem, że przekażę jego propozycję tobie i doktorowi Duvallierowi. I to wy musicie zdecydować.

– Nie rozmawiałaś z doktorem Duvallierem? Naprawdę o niczym nie wie?

– Naprawdę, ale zaraz się dowie. Czeka w sąsiednim gabinecie. – Zadzwoił po Marca i spojrzał na Lucy z zadowolona miną.

Marc szczerze się zdziwił, widząc Lucy. Jak zawsze, powitał ją uprzejmym uśmiechem.

– Chciałaś się ze mną widzieć? – zwrócił się do Johna.

– Owszem. Jestem po rozmowie z konsultantem oddziału położniczo-ginekologicznego w Castle Rock, leży u niego twoja kuzynka, Simone Romilly. Chce wrócić do Francji i trochę pomieszkać u twojej matki. O ile zawieziecie ją tam z Lucy samochodem.

Marc zacisnął dłonie tak mocno, że kłykcie mu zbieleły.

– Nie chcę wciągać panny Stephens w moje rodzinne sprawy. To bardzo nieelegancko, a moja kuzynka to wyrachowana kombinatorka.

– To prawda – przyznał John ugodowym tonem. – Wszyscy w Castle Rock są tego samego zdania, ale zgadzają się, że to byłoby najlepsze dla niej i dla dziecka.

– Wykluczone – oznajmił Marc. – Nie mógłbym poprosić o to panny Stephens.

– Skoro to w interesie matki i dziecka, to się zgadzam, choć niechętnie.

– To część pracy położnej – dodała Jenny. – Będziesz się opiekowała niemowlęciem w podróży. Dogadamy się z Castle Rock i dostaniesz za to odpowiednie wynagrodzenie.

– Doktorze Duvallier, teraz wszystko w pańskich rękach – rzekł John oficjalnie. – Pozwolę sobie zauważyć, że moim zdaniem powinien się pan zgodzić, przez wzgląd na dziecko. Mimo to będę musiał odliczyć te dni z pańskiego urlopu.

Zapadła cisza. Marc znalazł się w pułapce, pomyślała Lucy. Nie odważy się odmówić...

– Doceniam pani uprzejmość, panno Stephens – powiedział w końcu. – Wiem, ile to panią kosztuje. Zgadzam się, rzecz jasna. Kiedy mogę zabrać kuzynkę ze szpitala?

– Jutro.

Przez całą drogę do domu Lucy zastanawiała się, co ona najlepszego robi. Odkąd Marc z nią zerwał, unikała go, jak tylko mogła, czemu więc zgodziła się spędzić z nim te kilka dni? Może dzięki temu szybciej oswoi się z myślą, że to koniec? Znowu staną się znajomymi z pracy, zapomną, że byli kochankami. Jest to przykre, ale dość rozsądne. I cokolwiek się stanie, nie będzie się łudzić, że jeszcze do siebie wrócą, bo chyba by oszalała.

Wielki czarny mercedes gładko sunął autostradą M6. I bardzo dobrze, że jest taki wielki, pomyślała Lucy, bo dla wszystkich starczyło miejsca. Marc prowadził, Simone drzemała w fotelu dla pasażera, a Lucy siedziała z tyłu przy foteliku ze śpiącym dzieckiem. W bagażniku podróżowały trzy małe walizki, po jednej na każdego dorosłego. Co prawda Simone lamentowała, że nie wystarczy jej jedna

maciupenka walizeczka, ale Lucy i Marc pozostali niewzruszeni. Potrzebowali miejsca na wózek dziecięcy, łóżeczko, ubranka i inne rzeczy niezbędne dla niemowlęcia.

– Zdumiewające, jak szybko można wszystko załatwić, kiedy człowiek się postara – powiedział cicho Marc.

– Dla mnie to jak długi weekend. Jeśli tylko zorganizujesz mi transport do Lyonu, polecę samolotem do Manchesteru. Będę w domu za cztery, pięć dni.

– Nie będziesz zmęczona po tylu godzinach w samochodzie?

– Kiedyś jechałam do Hiszpanii autobusem, całą dobę.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Na szczęście podróżujemy w bardziej cywilizowanych warunkach.

Cieszyła się, że jest w stanie normalnie z nim rozmawiać. Może ten wyjazd nie okaże się mimo wszystko taki zły? Przestała też złościć się na Simone.

– Wszystko w porządku, Simone? Wygodnie ci?

– Śpię – wymamrotała Simone. – Daj mi spokój.

– Simone słynie z umiejętności przesypiania długich podróży – stwierdził Marc sucho. – Najchętniej spałaby całą drogę.

– Karmi piersią i powinna dużo spać. Poza tym o trzeciej nad ranem będziemy miały pobudkę, kiedy ty będziesz smacznie sobie chrapał. – Umilkła na chwilę. – Byłoby dobrze, gdyby Simone mogła spokojnie nakarmić i przewinąć dziecko za jakieś dwie godziny. Da się zrobić?

- Żaden problem. Zjedziemy z autostrady.
- W damskiej łazience pewnie będzie stół do przebijania.
- W męskich też się zdarzają – odparł, czym szczerze ją zaskoczył.
- O której przejeżdżamy pod kanałem la Manche?
- spytała.
- Zarezerwowałem bilety na dziewiątą, ale może będziemy wcześniej. Zrobiłem też rezerwację w hotelu, już po stronie francuskiej, jakieś dziesięć minut drogi od stacji. Do tej pory, jeśli się zgodzisz, przebijemy o kawie i kanapkach.
- Jadam w szpitalu, więc można właściwie powiedzieć, że to moja stała dieta. Chcesz, żebym cię zmieniła za kierownicą?
- Nie! – odparł. – Ale nie myśl, że ci nie ufam. Po prostu każde z nas ma swoją rolę do odegrania.
- Jak chcesz – mruknęła, ziewając szeroko. – Chyba pójdę za przykładem Simone i utnę sobie drzemkę. Późno się wczoraj położyłam.

Ułożyła się wygodnie i zamknęła oczy. Zanim zapadła w sen, pomyślała, jakie to wszystko dziwne: jadą z Markiem do Francji. Jeszcze niedawno zastanawiała się, czy spodoba się jego matce, teraz to przestało mieć znaczenie.

Pół godziny później samochód zakołysał się, jakby wyprzedzała go rozpędzona ciężarówka. Lucy otworzyła oczy i napotkała we wstecznym lusterku wzrok Marca. Uciekł spojrzeniem, lecz zanim powieki znowu jej opadły, zauważyła wyraz jego oczu, trochę smutny, trochę zamyślony.

Podróż przebiegała wyjątkowo dobrze. Zatrzymywali się co trzy godziny, Simone karmiła małą, Lucy badała dziecko i, jeśli było trzeba, przewijała. Z upływem czasu zjedli wszystkie kanapki i wypili kawę.

Gdy pod wieczór zbliżali się do wjazdu do tunelu kolejowego, Lucy miała kanapek powyżej uszu. Simone i Lucille spały jak dwa susły, Marc się nie odzywał, dzięki czemu Lucy nie musiała silić się na rozmowę. Przejazd pociągiem przez tunel okazał się interesującym doświadczeniem, choć może mniej przyjemnym niż przeprawa promem. O zmierzchu wjechali do Francji.

Widać było, że Marc doskonale zna trasę. Po zapowiadanych dziesięciu minutach skręcił w długi podjazd przed wejściem do hotelu – nie, jak spodziewała się Lucy, typowego motelu dla kierowców, lecz okazałej budowli, która wyglądała na stary zamek. Do samochodu natychmiast podbiegli szwajcarzy w liberiach. Marc porozmawiał z nimi, po czym wyjaśnił Lucy:

– Pokażą ci, który to pokój i zanosą twoje rzeczy. Śpicie z Simone i Lucille, tak jak uzgadnialiśmy, łóżeczko dla małej już czeka. Zapukam do was za jakieś pięć minut. Powiesz, czego ewentualnie potrzebujecie.

– Nakarmię dziecko, a później chętnie bym coś zjadła – rzekła Simone. – Marc, zamów mi coś lekkiego z sałatą. Niech przyniosą do pokoju. Aha, i jeszcze pół butelki wina.

– Kieliszek i ani kropli więcej – oznajmiła Lucy wesoło. – Za to wody mineralnej ile tylko zapagniesz.

– Dobra, dobra – mruknęła Simone. – Zupełnie jakbym znowu znalazła się w szpitalu.

– Lucy? – odezwał się nagle Marc. – Może później zeszłabyś na dół i zjadła ze mną kolację? Mamy elektroniczną nianię, Simone i Lucille dadzą sobie radę bez ciebie.

– Na dole? W restauracji? W tych dzinsach i wymiętoszonej bluzce? Wyprosiliby mnie chyba.

– Moim zdaniem wyglądasz uroczo. Ale jeśli wolisz, możemy zjeść na tarasie – odparł z uśmiechem, ale zmitygował się i dodał już oficjalniej: – Oczywiście, jeśli jesteś zmęczona, możesz zjeść kolację z Simone w pokoju.

– Cały dzień siedziałam w samochodzie, ściśnięta jak sardynka w puszcze. Wyspałam się i chętnie rozprostowałabym nogi. Ale muszę się wykapać.

– Oczywiście – przytaknął Marc. – Ja też o tym marzę.

Kiedy Lucille drzemała w łóžeczku, a Simone leżała przykryta kołdrą i obłożona kolorowymi pis-mami, Lucy wykapała się w największej wannie, jaką widziała w życiu, w łazience zastawionej olbrzymią kolekcją przyborów toaletowych. Wytarła się mięciutkim białym ręcznikiem, spojrzała na ogromne łóże i pomyślała, że mogłaby się do takich luksusów przyzwyczaić. Włożyła prostą bawełnianą sukienkę na ramiączkach, w odcieniu pastelowego błękitu, do tego krótki żakiecik.

– Ładny ciuszek – pochwaliła Simone. – Do twarzy ci.

Lubiły się i dobrze rozumiały, odkąd Simone pogodziła się z myślą, iż Lucy nie zamierza tolerować żadnych fochów. Lucy uczesała się, zrobiła lekki makijaż i zeszła do holu. Marc miał na sobie szary lniany garnitur, w którym przyjechał, jednak czarny sweter zastąpił czystą, białą koszulą, do której dodał jaskrawy krawat. Spojrzał na nią z uznaniem.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział. – Poprosiłem o stolik na tarasie, ale teraz wolałbym zostać w sali. Muszę się tobą pochwalić.

– Wolę na tarasie.

Gdy usiedli, Lucy postawiła na stole elektroniczną nianię.

– Położna dwadzieścia cztery godziny na dobę – zażartował. – Nie ma rzeczy zdolnej oderwać cię od pracy.

– To prawda, zawsze jestem czujna.

– Zamówiłem butelkę szampana. To nam rozjaśni w głowach.

– Jak uważasz – odparła, choć była innego zdania.

– Co byś zjadła?

– Chyba będziesz musiał mi pomóc – powiedziała, zaledwie zajrzała do menu, w którym nie było ani słowa po angielsku.

Wybrała szparagi, koktajl z krewetek w przedziwnym pomarańczowym sosie, jagnięcinę nadziewaną orzechami i sezonowymi warzywami, a na deser pływające naleśniki z jabłkami. Wszystko było wyborne, toteż humor od razu jej się poprawił.

– Nie wiedziałam, że Simone i twoja matka się lubią – zagadnęła, pijąc szampana.

– Jej rodzice mieszkają w miasteczku. Mają duże nowoczesne mieszkanie, ale jak to w mieście, hałas, samochody. Moja matka natomiast mieszka na wsi, w zamku. Simone jest romantyczką. Dla niej to jak bajka, matka bardzo chętnie ją podejmuje, ale nie toleruje jej humorów.

– A ty? Nie uważasz się za romantyka?

– Nie. Uwielbiam ten zamek, ale jestem realistą. Może i wygląda romantycznie, ale muszę położyć nowy dach, a to kosztuje. Simone nie myśli o takich sprawach. Bawi ją przeciwstawianie się swojej rodzinie.

– Ciebie nigdy nie kusiło? Żeby się zbuntować?

– Nigdy. Wiem, co mnie czeka i jestem z tego zadowolony – odparł i wypił łyk szampana, wcale, zdaniem Lucy, na szczęśliwego nie wyglądając. – Byłbym zapomniał. Rodzice Simone przesyłają nam serdeczne podziękowania.

Kelner postawił na stole kawę i brandy, po czym taktownie zniknął.

– Cieszę się, że się zgodziłaś zjeść ze mną kolację – powiedział Marc. – Lubię twoje towarzystwo. Może dojrzeliśmy do tego, żeby zacząć znowu ze sobą rozmawiać. Nie wyobrażasz sobie, Lucy, jak bardzo mi tego brakowało. Nie przewidziałem, że to będzie aż takie trudne.

– Mnie brakuje wielu rzeczy. – Głos jej zadrżał. Skinął głową, uśmiechając się ze smutkiem.

– Pojutrze zobaczysz mój dom. Może zrozumiesz,

dlatego jestem, jaki jestem, dlatego kocham tę dolinę i ludzi, którzy tam mieszkają. Czułbym się lepiej, gdybyś to rozumiała.

– Przekonamy się. – Wstała od stołu. – Jeśli pozwolisz, pójdę się teraz położyć.

– Oczywiście. – Podniósł się na nogi. – Odprowadzę cię. Masz mój numer, gdyby cokolwiek się działo, dzwoń. Poproszę w recepcji, żeby rano przynieśli wam śniadanie do pokoju. Potem w drogę.

– Jak uważasz.

Nie żałowała, że zjadła z nim kolację, choć jej radość była zaprawiona goryczą. I wcale nie pocieszała jej myśl, że Marc mógłby powiedzieć to samo.

Pod innymi względami podróż do Francji okazała się łatwa i przyjemna. Lucy przypuszczała, że Simone i Lucille doskonale by się bez niej obeszły. Dziecko było wyjątkowo spokojne, a humor Simone, podobnie jak pogoda, poprawiał się z każdym przejechanym kilometrem. W końcu na horyzoncie wyrosły góry, zapowiedź, że są prawie na miejscu.

Do drugiego hotelu dotarli za dnia. Simone chciała zjeść na dworze i poprosiła, by jej towarzyszyli. Lucy uznała, że to dobry pomysł. Nie chciała zostać sama z Markiem, to zbyt boleśnie przypominałoby jej, co straciła. Wczoraj przez chwilę zachowywali się niemal jak para i nie chciała, by to się powtórzyło. Marc podjął decyzję o rozstaniu, zapewne słuszną, lecz to nie jego wina, że nie przestała go kochać.

Usiedli na tarasie, z którego rozpościerał się widok na zielone pola biegnące aż po piętrzące się daleko

góry. Najedli się do syta, a potem milczeli, zadowoleni, i podziwiali zachód słońca. Lucy siedziała naprzeciwko Marca, który bujał się na krześle, zaśmiewając się z żartu Simone. Lucy patrzyła na jego piękny uśmiech i myślała, że za chwilę pęknie jej serce. Chciała wierzyć, że już go nie kocha. Wierzyła w to jeszcze przed kwadransem, ale nie może się dłużej oszukiwać. Kochała go tak jak dotąd nikogo, ale co ma począć?

Nie załamie się, musi wytrzymać, za to po powrocie zadba o to, by więcej się nie spotkali. Kobieta z jej zawodem zawsze znajdzie pracę. Złoży wymówienie w Dell Owen Hospital, może wręcz wyprowadzi się do innego miasta, byle tylko więcej go nie widzieć.

Obudziła się z ciężkim sercem. Trochę poleżała w łóżku, w końcu jednak wstała i otworzyła okiennice. Słońce, które towarzyszyło im od dwóch dni, dzisiaj skryło się za chmurami, góry tonęły we mgle. Wstawał smutny, szary dzień.

Wcześniej rano ruszyli w drogę. Góry zaczęły się powoli zbliżać, po godzinie o przednią szybę uderzyły strugi deszczu, zerwał się silny wiatr. Nawałnica ucichła równie nagle, jak się rozpoczęła, i już tylko deszcz monotonnie bębnił o dach samochodu.

– Typowa góraska pogoda – stwierdził Marc wesoło, potem zerknął na horyzont i dodał z uśmiechem: – Nie wygląda na to, żeby miało się przejaśnić.

Pola uprawne zostawały za nimi, coraz rzadziej mijali wioski czy miasteczka, te zaś, przez które

przejeżdżali, wyglądały coraz ubożej. Po pewnym czasie zjechali z autostrady w główną drogę do Montreval, następnie zaś skręcili w wąską, krętą dróżkę mozolnie pnącą się do góry. Lucy dziękowała Bogu, że samochód Marca ma napęd na cztery koła. Wiatr ze świstem uderzał w szyby i chociaż był środek dnia, Marc musiał włączyć przednie światła. Dolina była wąska, chmury wisiały nisko, nad ziemią kłębiła się mgła i zrobiło się ciemno.

– Brama do Montreval – stwierdził lakonicznie Marc, gdy wjeżdżali w jeszcze węższą dolinę. – Droga ciągnie się przed nami jakieś dwadzieścia kilometrów, a potem nagle się urywa. Nie spodziewaj się dużego ruchu, Lucy. Mało kto jedzie do Montreval... albo Montreval opuszcza.

Marc z każdą chwilą wydawał się radośniejszy. Znowu zwolnił, bo deszcz gwałtowniej uderzył o dach, miejscami w poprzek drogi potworzyły się prawdziwe potoki.

Coraz rzadziej mijali samotne farmy, zaniedbane albo wręcz wyglądające na porzucone, wzdłuż drogi zaczęły się pokazywać ściany skalne i rachityczne poskręcane drzewa. Pokonali ostry zakręt, chwilę później Marc zahamował.

– Stąd go widać. Zamek, w którym się urodziłem, mój dom, ale sam już nie wiem, czy bardziej go kocham czy nienawidzę.

Lucy usiłowała cokolwiek dostrzec między szybko poruszającymi się wycieraczkami. Owszem, zamek i okolica jak z bajki, brakuje tylko słońca. W deszczu wszystko wydaje się szare i przygnębiające. Zerknęła

na Marca, pewna, że i jemu udzielił się posępny nastrój, tymczasem on uśmiechał się szeroko.

– Jedziemy dalej. Mam nadzieję, że matka kazała ogrzać nasze pokoje.

Simone ocknęła się i powiedziała zaspanym głosem:

– Na pewno. Twoja matka to doskonała pani domu, Marc. Cieszę się, że mogę u niej pomieszkać. Będzie rozpieszczać moją małą Lucille.

– Moja matka nikogo nie rozpieszcza – mruknął Marc. – Jest pragmatyczna jak mało kto. Mała Lucille przypomni jej tylko, że powinienem postarać się o potomka.

– Chyba miewacie tu czasem i słoneczne dni, prawda? – spytała Lucy słabym głosem.

– Czasami – przytaknął Marc. – Wiosną i wczesnym latem dzieją się tu prawdziwe czary. Powinnaś to zobaczyć, morze kwiatów. Dzięki nim łatwiej znosić te deszcze.

– Wyobrażam sobie – odparła Lucy.

Simone patrzyła, jak krople deszczu rozbryzgują się o szyby, bardzo zadowolona z życia.

– Zawsze czuję się tu szczęśliwa – powiedziała nagle. – Dziwne. Marc też, ale z nim jest trochę inaczej. Musi przez cały czas szukać sobie jakiegoś zajęcia. Ciocia Clotilde jest opiekuńcza, nikogo do niczego nie zmusza, w przeciwieństwie do moich rodziców. Marc sam się zmusza do różnych rzeczy, ale to jego wybór. Ja mogę tu po prostu być.

– A co potem?

Simone wzruszyła ramionami.

– Zostanę tu na kilka tygodni albo i miesięcy. Ciocia będzie miała towarzystwo i pomoże mi przy Lucille. Na spokojnie zastanowię się nad powrotem na studia. Będę pod opieką konsultanta z Lyonu, rodzice to z nim załatwili.

– A ojciec Lucille? Zamierzasz się z nim skontaktować?

– Nie, a po co? Niczego od niego nie chcę. Lepiej mi będzie samej – odparła obojętnie Simone.

Lucy pomyślała, że takie podejście musi chyba być dziedziczne. Najważniejsze, że Simone histeryczka, którą Lucy pamiętała z Anglii, zniknęła bez śladu. Simone wyciszyła się, było jasne, że pobyt w Montreal jej służy. Lucy natomiast już po kilku godzinach poczuła się dziwnie przytłoczona. Dla niej wioska i cała dolina miały w sobie coś klaustrofobicznego.

Rozmowa toczyła się w pokoju Simone, ogromnym pomieszczeniu o ścianach i posadzce z kamienia, w którym mimo to panowało przyjemne ciepło. Obok podwójnego łóża dla Simone stało małe łóżeczko dla dziecka. Z sypialni wchodziło się do łazienki z dużą, staroświecką wanną na nóżkach i lśniącymi mosiężnymi kurkami.

Lucy przydzielono sąsiedni pokój, który z sypialnią Simone łączyły dodatkowe drzwi.

Lucy podeszła do okna i stanęła obok Simone. Nad wioską przepływały szare chmury, jak okiem sięgnąć nie było widać żywej duszy. Panowała jesień, lecz Lucy nie widziała w niej żadnego piękna. Ogarniało ją coraz większe przygnębienie.

– Zejdźmy na kolację – odezwała się Simone.
– Ciocia lubi punktualność. Przy Lucille zostanie pokojówka.

– Może zjem u siebie, pewnie chcesz побыć z rodziną...

– Nie! – ucięła kategorycznie Simone. – Zjesz z nami! Jesteś przyjaciółką rodziny, a nie służącą. Marc urwałby mi głowę.

– Będę musiała wystąpić we wczorajszej sukience – mruknęła Lucy. – Gdybym wiedziała, że codziennie będę chadzać na kolacje, wzięłabym co najmniej trzy.

Przebywali w zamku od trzech godzin. Po przyjeździe przywitała ich matka Marca. Pani Duvallier idealnie odpowiadała wyobrażeniom Lucy: była wysoka i wyprostowana, dyskretnie umalowana, miała niezwykle starannie ułożone siwe włosy. Ubrana była w suknię z popielatego jedwabiu, drogą, lecz dyskretnie elegancką. Była trochę podobna do syna. Simone i Marca powitała z radością, acz z wielkim spokojem, i pozwoliła, by ucałowali ją w policzki. Ożywiła się dopiero na widok Lucille. Następnie przemówiła do Lucy, posługując się piękną angielszczyzną, uścisnęła jej dłoń i podziękowała za wszystko, co Lucy uczyniła dla Simone i jej dziecka.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *madame* Duvallier – odparła Lucy, zawczasu spytawszy Marca, jak się do niej zwracać. Do jej matki po paru tygodniach znajomości Marc z pewnością zwracałby się per „mamo”.

Pani domu poleciła służącej, by pokazała gościom ich pokoje, zajęła się bagażami i podała drinki.

Wyjaśniła, że musi pomówić z synem i poprosiła, by Lucy zeszła później na kolację. Lucy poszła się przebrać, nie chciała wystąpić w dzinsach i zwykłej bluzce.

Z niepokojem myślała o tym, jak Marc zachowa się podczas kolacji. Od momentu, gdy wjechali do deszczowej doliny, sprawiał wrażenie coraz bardziej dalekiego. Cieszył się, że jest w domu, jednak Lucy nie podzielała jego radości. Chodził uśmiechnięty, lecz milczący. Lucy pocieszała się, że jutro stąd wyjedzie, choć sama nie była pewna, czy bardziej ją to cieszy, czy smuci.

Niemłoda pokojówka weszła do sypialni Simone i pochyliła się nad małą Lucille, uśmiechając się radośnie. Sama miała troje pociech. Simone i Lucy wyszły na korytarz.

– Wiesz co – odezwała się nagle Simone – spędziłyśmy razem trzy dni, ale przez małą i Marca nawet nie miałyśmy kiedy spokojnie porozmawiać. Pochwal się, jak tam jest między tobą a moim kochanym kuzynem?

– Słucham? – Lucy cieszyła się, że w holu panuje półmrok, bowiem zaczerwieniła się po same uszy.
– Dobrze mi się z nim pracuje, rozumiemy się.

Simone roześmiała się głośno.

– Mnie nie oszukasz. Kochacie się, tak?

– Ależ skąd!

– Przypominam ci, że znam Marca, odkąd byłam tycia. Widziałam, jak on na ciebie patrzy i jak ty patrzysz na niego. Aż się dziwiłam, że któreś nocy nie wymknęłaś się do niego po cichutku.

– Simone! On jest lekarzem, ja położną, opiekujemy się tobą i Lucille. To wszystko.

– Jasne – odparła Simone. – Lucy, bardzo cię lubię. Jak myślisz, czemu się uparłam, że macie mnie tu przywieźć z Markiem?

– Żeby zrobić nam na złość?

– Może trochę – zaśmiała się Simone. – Przede wszystkim chciałam raz w życiu zachować się jak człowiek. Spowodować, żebyście spędzili razem trochę czasu.

– I spowodowałaś. Jutro wracam do domu.

– Lucy, powalczże o niego trochę!

– Próbowałam i co z tego mam? Złamane serce.

Kiedy weszły do jadalni, Lucy zauważyła, że Clotilde przebrała się do kolacji, Marc natomiast został w stroju, w którym przyjechał, choć przecież miałby w czym wybierać. Doceniła jego takt.

Podczas kolacji panowała uroczysta atmosfera. Dania były pięknie podane i wyglądały smakowicie, ale ze zdenerwowania Lucy czuła się, jakby jadła siano. Na domiar złego domownicy starali się być wobec niej szczególnie uprzejmi i stale ją zagadywali.

– Rozmawiamy wyłącznie po angielsku – obwieściła Clotilde, zaledwie usiadła za stołem, i rada nierada Lucy musiała uczestniczyć w rozmowie, choć wołałaby, aby wszyscy mówili po francusku i dali jej święty spokój.

Gdy Clotilde uprzejmie spytała o zdrowie Simone i dziecka, Lucy odparła szczerze, że pobyt we Francji, a szczególnie w tym domu, wyraźnie obojgu służy, co

pani domu skwitowała dyskretnym uśmiechem satysfakcji.

– Liczę na to, że trochę pani u nas zabawi – odparła. – Chciałabym, aby zobaczyła pani zamek i wioskę w słoneczny dzień. Choć prognoza pogody nie jest zachęcająca.

– Dziękuję, *madame* Duvallier, ale muszę wracać do pracy. Chciałabym się jakoś dostać do Lyonu, autobusem albo pociągiem. Dalej polecę samolotem.

– Nigdzie cię nie puszcze! – zaprotestowała Simone.

– Lucy naprawdę musi wracać, Simone – odezwał się Marc. – Kierownik szpitala i tak okazał się niebywale wyrozumiały.

Ach, to tak, pomyślała Lucy z żalem. Zatem wszystko jasne.

W pewnej chwili do jadalni wszedł jakiś człowiek i szepnął coś pani domu. Clotilde uśmiechnęła się przeprasząco.

– Uroki wiejskiego życia. Zeszła lawina błotna i droga jest nieprzejezdna.

Widząc minę Lucy, Marc powiedział szybko:

– Nie martw się, Lucy, tutaj to normalka. Jutro oczyszczą drogę i pojutrze będziesz mogła wyjechać.

– Albo wymyślić jakąś wymówkę, żeby zostać – wtrąciła Simone z nadzieją.

Lucy nie miała wyjścia – została w zamku. Gdy rano Simone przysłała do jej pokoju i razem usiadły do śniadania, rozległo się pukanie do drzwi. Stała w nich Marc, w ciepłym ubraniu i w długich butach. Podał Lucy wypchaną torbę i powiedział:

– Idę się pobawić w wiejskiego łapiducha. Zamierzam odwiedzić kilku pacjentów we wsi i pomyślałem, że może poszłabyś ze mną, zobaczyła, jak to u nas wygląda. Nie kryję, że liczę na twoją pomoc przy małych pacjentach.

– Co jest w tej torbie?

Uśmiechnął się szeroko.

– Parę rzeczy mojej matki. Na pewno nie takich, do jakich jesteś przyzwyczajona, ale w sam raz do spacerów w deszczu.

– Za dziesięć minut będę na dole.

Kiedy zeszła, Marc opowiedział jej, że trzy razy w tygodniu do Montreal przyjeżdża lekarz, który przyjmuje na zapleczu starego sklepu.

– Doktor Malville się starzeje, powinien już dawno być na emeryturze. Praktykuje, bo lubi swoją pracę i dlatego, że nie ma go kto zastąpić. Dzwoniłem do niego dziś rano. Nie ma jak się tu dostać i spytał, czy nie zajrzałbym do kilku osób.

Tego dnia Lucy poznała medycynę w innym, staroświeckim wydaniu, lecz po pierwszym szoku uznała, że taka bardziej jej się podoba. Przede wszystkim nikt się tutaj nigdzie nie śpieszył. Najpierw odwiedzili starszego pana, któremu zrobił się wrzód na nodze. Mężczyznę bardzo ucieszyła ich wizyta i dobre dziesięć minut rozmawiali o wszystkim i o niczym, nim Marc przystąpił do badania. Lucy zaproponowała pomoc przy zmianie opatrunku. Pożegnali się serdecznie i wyszli na mokrą ulicę.

– Trochę to inaczej wygląda niż w Anglii, co?
– zagadnął Marc, uśmiechając się przekornie.

– Nie mam pojęcia. Tak trajkotaliście, że zrozumiałam tylko „*bonjour*”.

– Nigdzie nie nauczysz się francuskiego tak szybko, jak we Francji – odparł ze śmiechem. – No, teraz idziemy do Michelle Malraux, jej półroczne dziecko coś niedomaga. Liczę na ciebie.

Brnąc w błocie, przedarli się labiryntem wąskich uliczek i dotarli do domu państwa Malraux. Byliby na miejscu znacznie szybciej, gdyby każdy napotkany przechodzień nie zatrzymywał Marca, by uścisnąć mu dłoń i chwilę z nim porozmawiać.

– Dobrze, że tak leje – mruknęła Lucy – przynajmniej kto może, siedzi w domu. Inaczej szlibyśmy chyba cały dzień.

– Nie podoba ci się ich bezpośredniość? Czy tak nie jest sympatyczniej niż w wielkim mieście, w którym nikt nikogo nie zna?

– Może i masz rację.

Okazało się, że dziecko Michelle jest niedożywione. Po badaniu Marc zadał matce kilka pytań, tłumacząc Lucy jej odpowiedzi.

– Co o tym sądzisz? – spytał w końcu.

– Nie wiem, ale podejrzewam alergię pokarmową. Możemy doraźnie pomóc, ale nie postawimy ostatecznej diagnozy. Dziecko powinno trafić do specjalisty, kogoś, kto ma pod ręką laboratorium i może zlecić odpowiednie badania.

– Zgadza się. Z drugiej strony wizyta w najbliższym szpitalu oznacza dla rodziców dwudniowy wyjazd. Ale zobaczę, co da się załatwić.

Umiejętności Lucy przydały się jeszcze dwa razy:

pokazała młodej matce, jak powinna przystawiać dziecko do piersi, i zbadła, czy maleństwo ma zdrowe biodra. Dwóch pacjentów Marc skierował do szpitala. Kiedy zbliżało się południe, wstąpili do kawiarni i zamówili mocną kawę, podawaną w dużych czarkach.

– Bardzo to wszystko francuskie – stwierdziła Lucy z uśmiechem. – Gdzie jest akordeonista?

– Przychodzi później. Jak ci się podoba dzisiejszy dzień?

– Bardzo. Podoba mi się taka medycyna.

– Już rozumiesz, dlaczego chcę wrócić i otworzyć tu klinikę? Ściągnąć fachowców, żeby nikt się nie tułał po szpitalach daleko od domu? Byliśmy tylko we wsi, a co mają powiedzieć ludzie, którzy mają farmy w górach, dwie, trzy godziny jazdy stąd?

– Rozumiem. Wołałabym tylko, żeby tyle nie padało.

Kiedy wieczorem wrócili do zamku, było dla niej jasne, dlaczego Marcowi tak bardzo zależy na powrocie do Montreval. Wcześniej sądziła, że przemawia przez niego ambicja, marzy mu się otwarcie renomowanej i intratnej kliniki, lecz zrozumiała, że przede wszystkim chce pomagać ludziom.

Po kolacji Lucy oraz Simone oznajmiły, że są zmęczone, i poszły zajrzeć do Lucille. Marc pośpieszył za nimi. Gdy je dogonił, odciągnął Lucy na bok.

– Zostanę tu jeszcze cztery albo pięć dni – oznajmił. – John Bennet się zgadza. Matka prosiła, żebym

przejrzał i podpisał jakieś dokumenty, ale jutro odwiozę cię na dworzec. Będzie okazja, żeby spokojnie porozmawiać.

– Nie mamy o czym rozmawiać, Marc. Po prostu zawieź mnie na dworzec – odparła i pobiegła za Simone.

Wykapała dziecko, przewinęła i podała Simone do karmienia, pożegnała się z nią i wróciła do swojego pokoju. Czuła się znużona, ale nie mogła zasnąć i rozmyślała o Marcu.

Zobaczyła zamek i wioskę, niezmiennie od pięciu stuleci, i nieco lepiej rozumiała Marca i jego miłość do Montreval. Marc czuł się tu niczym ryba w wodzie. I miał rację: Lucy nie chciałaby tu żyć. W końcu zasnęła, ukołysana jednostajnym stukaniem deszczu o szyby.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Lucy, obudź się! Proszę!

Ktoś uparcie nią potrząsał dopóty, dopóki z trudem nie otworzyła oczu. Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na budzik: dochodziła trzecia nad ranem. Marc pochylał się nad nią, ubrany jak do wyjścia na dwór i śmiertelnie poważny.

– Nie hałasuj, obudzimy Simone.

Zaspana zastanowiła się, co też Marc robi w jej sypialni. Chce z nią iść do łóżka? Nie miałyby nic przeciwko temu. Nagle oprzytomniała.

– Wszystko w porządku z Simone i Lucille?

– Śpią jak dwa aniołki. Przed chwilą do nich zaglądałem, zostawiłem Simone kartkę. Nic im nie jest.

– No to o co chodzi? Nie mów, że bladym świtem naszła cię ochota na poważne rozmowy – odrzekła zirytowana.

– Nie. Przyszedł ktoś z wioski, potrzebują pomocy. Pomożesz?

– Oczywiście. – Gestem nakazała mu wyjść z pokoju. – Ubiorę się i zaraz zejść.

Obok Marca, ubranego w gruby płaszcz przeciwdeszczowy, stał starszy mężczyzna, przemoczony do nitki.

– To Claude Saulnay, jego córka zaczęła rodzić – wyjaśnił zwięźle. – Przyszedł do mnie, bo jestem lekarzem, a słyszał, że wróciłem.

Podał jej nieprzemakalny płaszcz i czapkę.

– Leje jak z cebra – dodał. – Podejrzewam, że i tak przemokniesz, ale lepsze to niż nic. Zadzwoń na karetkę, ale przyjedzie najwcześniej jutro rano, a jest za ciemno, żeby helikopter mógł tu wylądować. Mają tylko nas.

W strugach deszczu pobiegli do czarnego mercedesa. Tuż przed samochodem deszcz srebrzył się w świetle reflektorów, dalej wszystko tonęło w mroku. Minęli kilka budynków, po czym raptownie samochód ruszył pod górę, jak gdyby skręcili z drogi wprost na strome zbocze. Gdy koła zaczęły ślizgać się na mokrej ziemi, Lucy poczuła się niewyraźnie i, aby oderwać myśli od nieprzyjemnej jazdy, spytała o pacjentkę.

– Nazywa się Helene Dubois, to jej pierwsze dziecko. Miesiąc przed terminem. Helene mieszka z mężem w wiosce, ale tylko w weekendy. Kiedy mąż jedzie do pracy, przenosi się do domu ojca. Problem w tym, że Claude ma farmę wysoko w górach.

– Cięża przebiegała prawidłowo?

– Wydaje mi się, że tak. Gdyby lekarze spodziewali się jakichkolwiek komplikacji, zatrzymaliby ją w szpitalu.

Jechali coraz wolniej. Nagle samochodem szarpnęło, zakotłosał się gwałtownie i stanął. Marc zaklął po francusku – Lucy była pewna, że wyjątkowo szpetnie – silnik zawył i auto mozolnie ruszyło do

przodu. Po chwili znowu stanęło. Claude nerwowo wyrzucił z siebie parę słów, Marc odpowiedział równie zdenerwowany i zapadła cisza.

– O co chodzi? – spytała zniecierpliwiona.

– Claude ma mały drewniany dom mniej więcej w połowie drogi na szczyt. Zbocze jest strome i często schodzą po nim lawiny błotne. Ziemia rozmięka od deszczu, tworzy się ogromna masa błota, którą w miejscu przytrzymuje warstwa torfu, a kiedy torf pęka, uwalnia falę błota wysoką na półtora, dwa metry. Nic nie jest w stanie jej zatrzymać, porywa wszystko. Jeśli uderzy w farmę Claude’a, zmiecie ją na dno doliny. Nie mogę narażać twojego życia.

– Musimy zabrać stamtąd tę biedną dziewczynę – odparła Lucy. – Przewieźć do zamku, gdziekolwiek, byle tam nie została. Wiem, że to nie szpital, ale wszystko jest lepsze od śmierci w błocie.

– O ile nie ugrzęźnieny na amen, zapomniałaś dodać.

Samochód znowu wpadł w poślizg, zatrzymał się i zaczął gwałtownie przechylać się na stronę kierowcy, jak gdyby miał się przewrócić. Lucy krzyknęła ze strachu.

– Otwieraj drzwi i uciekaj! – rzucił Marc. – Nie dyskutuj, rób, co mówię!

Wyskoczyła na drogę i stojąc w strugach ulewnego deszczu, patrzyła, jak w jej ślady idzie Claude. Na końcu, tylnymi drzwiami, z auta wygramolił się Marc. Znalazł się za samochodem w chwili, gdy ten zaczął się zsuwać, by w następnej sekundzie majestatycznie przewrócić się na bok. Marc zniknął jej z oczu.

Pobiegła go szukać, ślizgając się w błocie. Pomimo ciemności i kurtyny deszczu nareszcie go wytrzymała: klęczał, przyciskając przedramię do piersi.

– Marc, jesteś cały?

Marc wypowiedział parę słów do Clauda. Mówił ochryple, z trudem łapał oddech i Lucy zdała sobie sprawę, że to z bólu. Kiedy Claude zniknął w mroku, Lucy przyklękła przy Marcu i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Co ci jest? Mów! – jęknęła zmęczona i przeżona.

– Ręka mi uwięzła między drzwiami samochodu a metalowym słupem. Jest trochę zmiądzzona.

– Nie ma czegoś takiego jak „trochę” zmiądzzona. Daj mi to obejrzeć, może...

Nagle zalała ich powódź ostrego światła.

– Zawsze wożę w bagażniku mocny reflektor. Poprosiłem Claude’a, żeby go przyniósł.

– Pokaż mi tę rękę.

Wiedziała, że obrażenia kończyn są szczególnie bolesne i nie spodziewała się, że z dłonią Marca jest aż tak źle. Kiedy deszcz zmył błoto i krew, zobaczyła, że ma pogruchotane palce. Nie było wątpliwości, że kości są połamane, rany wymagają założenia szwów, a czas pokaże, czy nie doszło do poważnego uszkodzenia nerwów.

– Powiedz Claude’owi, żeby przyniósł nasze torby, założę ci opatrunek. Marc, musisz jechać do szpitala!

Claude podał jej reflektor i pobiegł do samochodu.

– No to mamy mały problem, bo do rana możemy o tym zapomnieć. A tam, wysoko, czeka na nas

przerażona kobieta. Zrobimy tak: Claude odprowadzi cię do wioski, a ja pójdę na farmę i...

– Nie! – przerwała mu. – Ja pójdę!

– Nie zgadzam się! Nie będziesz się narażać!

– Nie masz nic do powiedzenia – oznajmiła spokojnie. – Po pierwsze, nie potrzebuję twojego pozwolenia. Po drugie, z ręką w takim stanie nie przyjmiesz porodu. Wróćisz z Claude'em, a ja się zajmę dzieckiem. – Założyła mu prowizoryczny opatrunek. – Na razie to musi wystarczyć. Później na spokojnie obejrzę tę ranę.

– Nie pozwolę, żebyś poszła sama.

– A jednak pójdę. To nieprzyjemne uczucie, prawda? Kiedy nie ma się na coś wpływu?

Marc powiedział coś Claude'owi, a kiedy ten kiwnął głową, zwrócił się do Lucy:

– Idziemy razem. Claude wróci do wsi i zorganizuje pomoc. Ale do świtu nie ma na co liczyć. Został nam jakiś kilometr.

– No to w drogę. Biedna dziewczyna, sama jak palec i pewna, że przyjdzie jej rodzić bez niczyjej pomocy.

Trudno było iść, tym bardziej, że musieli dźwigać torby lekarskie, a Lucy niosła także reflektor. Przemokli doszczętnie, ale na szczęście nie było specjalnie zimno. Brnęli po kleistym błocku, ślizgając się i potykając, z coraz większym wysiłkiem stawiając nogi. Lucy miała wrażenie, że nie posunęła się ani o centymetr, choć męczyła się od pięciu minut: krok pod górę i zjazd w dół po śliskim błocie. Była ledwie

żywa i wołała się nie zastanawiać, jak musi się teraz czuć Marc.

– Wszystko w porządku? – spytała po chwili.

– Idź dalej, czuję się dobrze – odparł słabym głosem.

Pomyślała ze zgrozą, że wysiłek fizyczny po wstrząsie może go zabić. Powinien leżeć i odpoczywać, a nie tracić siły na taką upiorną marszrutę. A jeśli zemdleje, co wtedy? Na szczęście farma była już w zasięgu wzroku. Cudem pokonali ostatnie metry, dowlekli się do drzwi i weszli do środka.

– *Allô, Helene! C'est docteur Duvallier!* – zawołał Marc, wysłuchał odpowiedzi i uśmiechnął się do Lucy ze znużeniem. – Na razie nie jest źle. Mamy czas, żeby się przygotować.

Lucy pomyślała, że okropnie zabrudzą to czyste, schludne wnętrza. Oboje ociekali wodą i byli czarni od błota, ale cóż mogła zrobić? Zdjęła płaszcz i podążyła za Markiem. W sypialni na parterze, na wielkim łóżu z bogato rzeźbionym wezgłowiem, leżała młoda kobieta. Powiedziała coś do Marca, a Lucy przywitała wystraszonym uśmiechem. Była bliska paniki, ale widok lekarza podniósł ją na duchu.

– Helene mówi, że akurat przestało ją boleć, skurcze powtarzają się co kilka minut – przetłumaczył. – Prosi, żebyś zdjęła mokre rzeczy i wrzuciła je do wanny. W szafie i komodzie znajdziesz czyste ubrania, masz sobie coś wybrać. Ja pożyczę coś z ciuchów Claude'a.

– Zostań przy niej, aż wrócę – poprosiła.

Szybko wybrała parę części garderoby, zamknęła

się w łazience, wytarła i przebrała. Chciała się uczesać, ale nie znalazła grzebienia ani szczotki. Gdy wróciła do sypialni, stwierdziła, że Marc jest bardzo blady, a zabłocony opatrunek na rękę przesiąka krwią.

– Pomóc ci się rozebrać? – zapytała.

– Jakoś sobie poradzę – odparł i uśmiechnął się szeroko.

– Po prostu nie chciałabym, żebyś stracił przytomność i rozwalił sobie głowę o posadzkę. No idź, ubierz się ciepło i posiedź w kuchni. Ani mi się waż ruszyć, dopóki nie przyjdę. Masz początki wstrząsu. Zajmę się Heleną, a potem opatrzę ci rękę.

Uśmiechnęła się do dziewczyny, niepewna, jak sobie poradzi, nie znając francuskiego. Marc, jakby czytając w jej myślach: uśmiechnął się pod nosem, mówiąc:

– „*Poussez*” znaczy „przyj”.

– Przecież wiem! Idźże już i rób, jak kazałam.

Zbadała Helene i osłuchiwała tętno płodu, na szczęście nic nie wróżyło komplikacji. Z przyzwyczajenia zaczęła wypełniać kartę ciąży. Helene okazała się idealną pacjentką: cieszyła się, że nie jest sama, i z pogodą ducha poddawała się woli natury. Fakt, iż Lucy nie mówi po francusku, najwyraźniej wcale jej nie przeszkadzał. O dziwo, porozumiewały się bez żadnych problemów.

Lucy poklepała Helene po ramieniu, pokazała na migi, że idzie na chwilę do kuchni, po czym wskazała swoją rękę. Dziewczyna kiwnęła głową; nie ma sprawy, poradzi sobie, dopóki Lucy nie opatrzy Marcowi dłoni.

W kuchni nastawiła wodę. Przeszukała szafki i znalazła kawę oraz cukier. Marc upił łyk i skrzywił się z niesmakiem.

– Ja nie słodzę.

– Dzisiaj słodzisz. Nie chcemy, żebyś wpadł we wstrząs. Zmierzę ci ciśnienie. – Zawahała się i nieśmiało dotknęła jego policzka. – Zaraz mi tu zamarniesz. Przyniosę koc.

– Lucy, nie mogę pozwolić, żebyś...

– Dobra, dobra. Przeprowadziłeś mnie tu, ale teraz ja dowodzę. Pokaż tę rękę.

Obmyła ją najdokładniej, jak potrafiła, i założyła szwy. Następnie opatrzyła ją i umieściła na temblaku.

– Jeszcze tylko coś przeciwbólowego i kończymy – oznajmiła.

Znowu pobladł. Wiedziała, że to z bólu, choć przecież starała się być delikatna. Mimo to burknął:

– Nie trzeba.

– Trzeba. Znam się na bólu jak mało kto, w końcu jestem położną. Podam ci diamorfinę. Nie ma sensu niepotrzebnie cierpieć, to głupota. – Zrobiła mu zastrzyk. – A teraz połóż się i odpoczywaj. Będę u Helene. Zawołam cię, gdybyś był potrzebny.

Wróciła do dziewczyny i odetchnęła z ulgą: poród postępował prawidłowo. Nagle światła przygasły, dom zadrżał w posadach. Helene krzyknęła ze strachu, Lucy dodała jej otuchy spokojnym uśmiechem i potrząsnęła głową. Zaabsorbowana Markiem i Helene zapomniała, że w każdej chwili może zejść lawina. Pobiegła do kuchni: Marc wypatrywał czegoś za oknem, przyświecając sobie latarką.

– Zeszła – powiedział krótko. – Zobacz, widać nawet którądy. Mieliśmy szczęście, następnym razem może skończyć się znacznie gorzej. Lucy, nie narażaj się bez potrzeby. Sama mówiłaś, że nie ma żadnych komplikacji. Zostanę odebrać poród, a ty trzymaj się tej ścieżki i jakoś...

– Wiesz co? – przerwała mu. – W pełni się z tobą zgadzam. Nie powinniśmy ryzykować. Ty zejdziesz do wsi, a ja zostanę tu z Helene.

– To śmieszne!

– Dlaczego? Moim zdaniem to bardzo sensowne. – Zmierzyła go wzrokiem. – Marc, uważam cię za względnie szczerego człowieka, więc też będę szczerą. Mniejsza o to, że chcesz pokazać, jaki jesteś macho, i opiekować się mną choćby i za cenę własnego życia. Co nam grozi, jeśli się stąd nie ruszymy?

– Jeśli zejdzie następna lawina, możemy zginąć.

– Skoro tak, to póki jeszcze żyjemy, pozwólmy sobie na odrobinę szaleństwa – oznajmiła, przyciągnęła do siebie jego twarz i mocno pocałowała go w usta. – Nie wiemy, co się za chwilę wydarzy, więc cieszymy się życiem, póki trwa. Wiem, że masz problemy, że ciążą na tobie obowiązki. Ale chcę, żebyś jedno wiedział: Marc, ja cię kocham! Kocham cię, dobrze słyszałaś. Żadne z nas nie wypowiedziało dotąd tego słowa, ale jeśli dzisiaj przyjdzie mi umierać, odejdę, myśląc o tobie.

– Lucy, Lucy! – zawołała zza ściany Helene.

– No tak, najpierw praca.

Kiedy po kwadransie wróciła do kuchni, Marc już

spał. Chwała Bogu za leki przeciwbólowe. Lucy nakryła go kocem i wróciła do Helene. W nocy dom znowu zatrzęsł się w posadach, jak gdyby coś w niego uderzyło, ale Helene i Lucy były zbyt zajęte, by się tym przejmować. Helene mówiła, że chce jechać do szpitala, lecz poród przebiegł szybko, toteż chwilę później siedziała z nowo narodzonym synkiem w ramionach i płakała ze szczęścia. Lucy także uroniła łezkę: ten moment zawsze szczególnie ją wzruszał.

Później zabrała się za sprzątanie, dumna, że tak dobrze się spisała pomimo spartańskich warunków, i dziwnie spokojna. Wyjrzała przez okno i po raz pierwszy od przyjazdu do Montreval ujrzała czyste niebo, na którym lśniła samotna gwiazda. Powoli wstawał nowy dzień. Wszystko skończyło się dobrze. Lucy przyciągnęła sobie krzesło do łóżka Helene, usiadła i ziewnęła szeroko. Czuła się bardzo zmęczona, więc na chwilę przymknęła oczy.

Obudził ją potworny ryk. Chyba nie tylko ją, bo usłyszała, że noworodek zanosi się płaczem. Hałas potężniał z każdą chwilą, Helene też już nie spała, wołała coś po francusku. Lucy pobiegła do kuchni. Ryk stał się wręcz ogłuszający, po czym nagle zapadła cisza. Lucy podbiegła do Marca, który stał przy oknie, i wyjrzała na dwór przerażona.

– Przybyła pomoc – stwierdził spokojnie.

I rzeczywiście, w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów od domu wylądował helikopter, z którego wysiadali właśnie ludzie w kombinezonach. Lucy wyszła przed dom i rozejrzała się uważnie: niecały metr od budynku ciągnęła się szeroka wstęga

błota. Lawina zeszła tuż-tuż! Pomyśleć tylko, co by się stało, gdyby trafiła w dom!

Załoga helikoptera działała nad wyraz sprawnie. W mgnieniu oka Helene wraz z dzieckiem znalazły się na pokładzie, czekając na przewiezienie do najbliższego szpitala. Lucy podeszła do Marca, który rozmawiał z jednym z ratowników, pokazując mu zranioną rękę.

– Niech cię zabiorą do szpitala, musi to zobaczyć specjalista – powiedziała. – Oboje wiemy, że nie obejdzie się bez wizyty u neurologa.

– A ty?

– Mnie się nic nie stało. Jesteś lekarzem, musisz mieć sprawne obie ręce.

– Poleć ze mną!

– Nie ma takiej potrzeby. Claude zaraz tu będzie, zaprowadzi mnie do zamku.

– Musimy poro...

Zamknęła mu usta przyjacielskim pocałunkiem.

– Zapomnij, co wczoraj mówiłam. Byłam przerażona, wygadywałam niestworzone rzeczy. Tego po prostu nie było. Idź już, nie każ Helene i jej dziecku czekać. Zmykaj.

Schodząc ścieżką w kierunku wioski, czuła na sobie jego wzrok. Pięć minut później usłyszała ogłuszający hałas. Helikopter wzbił się w powietrze, ale ona nawet się nie obejrzała.

Claude nie znał angielskiego. Widział helikopter i umierał z niepokoju, lecz Lucy szybko rozwiąła jego obawy. Uśmiechnęła się szeroko, próbując sobie przypomnieć kilka francuskich słów.

– *Petit garçon*, chłopczyk. *Helene heureuse*, *Helene szczęśliwa*. *Tous bien*, wszystko dobrze.

Zrobiła taki gest, jakby kołysała w ramionach niemowlę. Claude się rozpromienił i wycałował ją w policzki, po czym zaprowadził ją do wioski. Brnąc po kostki w błocie, przeszli obok przewróconego mercedesa. Patrząc na niego, Lucy bezwiednie zadrzała, ale nie czuła nic oprócz potwornego zmęczenia. Kiedy dotarli do wioski, pozwoliła bezwolnie wepchnąć się do czyjś samochodu i odwieźć do zamku, gdzie czekała na nią Clotilde, dostojna i wytworna jak zawsze, co boleśnie przypomniało Lucy, że wygląda jak straszdyło. Ku jej zaskoczeniu Clotilde ujęła ją za rękę i ucałowała w policzki.

– My, Duvallierowie i mieszkańcy wioski, jesteście my pani dozgonnie wdzięczni – powiedziała serdecznie. – Przed chwilą miałam telefon ze szpitala: Marca czeka operacja, matka i dziecko czują się doskonale. Marthe przyniesie pani posiłek do pokoju. Pewnie chce się pani wykapać i położyć. Była pani bardzo dzielna, proszę się już niczym nie martwić. Dopilnuję, żeby nikt pani nie niepokoił.

I chwala Bogu, pomyślała Lucy z ulgą. Zjadła coś, wykapała się i padła na łóżko. Zasnęła, nim jej głowa dotknęła poduszki.

Gdy się obudziła, zbliżała się pora lunchu. Pierwsze myśli Lucy dotyczyły wydarzeń minionej nocy, lecz czuła się dziwnie obojętna i zdystansowana, zupełnie jak gdyby to wszystko spotkało kogoś innego. Ubrała się i zeszła na dół, gdzie zastała Simone

i Clotilde, która trzymała na rękach małą Lucille i była bardziej ożywiona niż kiedykolwiek.

– Lucy, jak się czujesz? – spytała Simone. – Wszystko przespałam, ale rano znalazłam kartkę od Marca i umierałam ze zmartwienia.

– Już dobrze, Simone, nie ekscytuj się tak – upomniała ją Clotilde. – Lucy odpoczęła i z pewnością czuje się o niebo lepiej. Siadaj, Lucy, napijemy się herbaty. Uprzedzę twoje pytanie: Marc jest już po operacji. Obrażenia ręki okazały się dość poważne, ale lekarze są dobrej myśli. Mówią, że z czasem odzyska w niej pełną władzę.

– To wspaniale, bardzo się tym martwiłam.

– Jak my wszyscy – odrzekła Clotilde, choć nie wyglądało na to, by się zadręczała ręką syna. – Droga jest już przejezdna, za godzinę wybieram się do niego do szpitala.

– Mogłaby mnie pani podwieźć? – spytała Lucy, gdy podano herbatę. – Wsiadłabym w pociąg do Lyonu, zdaje mi się, że jest dobre połączenie.

– Proszę jeszcze zostać! Choć trochę, dopóki nie dojdzie pani do siebie po tym koszmarze. Marc na pewno chciałby się z panią zobaczyć.

– Doszłam już do siebie – zapewniła Lucy niezszczerze. – Naprawdę czas na mnie najwyższy. Nie jestem już potrzebna Simone i Lucille. Ani Marcowi.

– Ale my chcemy, żebyś została! – poparła ciotkę Simone.

– Może chociaż odwiedzi pani Marca? – prosiła Clotilde.

– Nie widzę takiej potrzeby. Powinien być z rodziną. Zobaczą się z nim po powrocie do Anglii.

– Jak pani uważa. Chciałabym ruszyć za godzinę.

– Pójdę się spakować.

Pożegnała się z Simone i jej córeczką, po czym wsiadły z Clotilde do limuzyny prowadzonej przez szofera. Madame Duvallier wysiadła przed szpitalem, mówiąc:

– Powtarzam: wołałabym dłużej panią gościć i jestem pewna, że Marc życzyłby sobie tego samego.

Następnie poleciła kierowcy, by zawiózł Lucy na lotnisko w Lyonie, gdzie czekał na nią zarezerwowany bilet na samolot.

Z lotniska w Manchesterze pojechała pociągiem, godzinę później przesiadła się do autobusu. Pomyślała, że mogłaby odwiedzić rodziców, lecz wołała być sama. O dziewiątej wieczorem zamknęła za sobą drzwi swojego mieszkania. Wzięła prysznic, wypita gorące kakao, usiadła na łóżku i wybuchnęła płaczem.

Rano poszła prosto do gabinetu Jenny.

– Wróciłam. Wybyczyłam się za wszystkie czasy i chciałabym od razu przystąpić do pracy – oznajmiła od progu.

Jenny podniosła wzrok znad sterty papierów.

– Odezwali się do mnie ludzie z tego szpitala we Francji. Co to za historia z praktykowaniem za granicą? Nie mają własnych położnych?

– Akurat żadna się nie trafiła – mruknęła Lucy.

– Czy... Co z jego ręką, coś słyszałaś?

– Podobno nieźle się poharatał – odrzekła Jenny, ściągając brwi. – Szybko go raczej nie wypuszczą, ale dopóki rękę ma niesprawną, i tak nie mielibyśmy z niego dużego pożytku. W każdym razie obiecali nas informować. – Odchyliła się na krzesło, patrząc na Lucy z namysłem. – Później mi wszystko opowiesz, ale muszę spytać: jak ci się układało z Markiem?

– Świetnie. Robiłam, co do mnie należy. Więc jak, zostaję na porodówce?

Dobrze jest wrócić w kierat, pomyślała. Natłok pracy pozwalał jej nie myśleć o przykrych sprawach. Przyjmowała kolejne zdrowe, krzyczące dzieci w komfortowych, higienicznych warunkach, wspominając rozkołysany drewniany dom na zboczu góry, gdy miała świadomość, że grozi jej śmierć, lecz mimo to dobitniej niż kiedykolwiek czuła, że naprawdę żyje, bowiem był przy niej Marc.

Od jej powrotu z Francji minęły trzy dni. Leżała na łóżku i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, odrzucając kolejne zaproszenie do Czerwonego Lwa. Wiedziała, że to do niej niepodobne, jednak życie towarzyskie po prostu przestało ją interesować. Cały czas myślała o Marcu, rozpamiętywała chwilę, gdy powiedziała mu, że go kocha. Kiedy przekazał jej swą decyzję o rozstaniu, tłumaczył, że jest przywiązany do rodzinnej ziemi. Teraz rozumiała go znacznie lepiej: był tam potrzebny, on albo inny lekarz.

W dniu jej wyjazdu po raz pierwszy pokazało się słońce i Lucy ujrzała dolinę w całej jej krasie. Była

nią oczarowana, co jednak nie zmieniało faktu, że nigdy nie byłaby w Montreval szczęśliwa, nie potrafiłaby żyć na takim odludziu. Mimo to wyjazd do Montreval sprawił, że pokochała Marca jeszcze gorzej niż kiedykolwiek.

Przymknęła powieki i przywołała jego obraz. Pamiętała wszystko, jego oczy, włosy, ciało. Pamiętała, jak bujał się na krześle, gdy siedzieli na tarasie pod wielkim parasolem, jego oczy w lusterku wstecznym, wyraz jego twarzy, gdy zrozumiał, że chce z nim spędzić noc. Dość, pomyślała, po co tak się dręczyc?

Ktoś zapukał do drzwi. Lucy pomyślała, że to pewnie sąsiadka.

– Wejdz, June! – zawołała.

Usłyszała, jak drzwi się otwierają, lecz głos, który jej odpowiedział, nie należał do June.

– A mnie wpuścisz?

Obejrzała się wstrząśnięta: to był Marc, zupełnie jak w jej marzeniach! Może trochę szczuplejszy, z ręką na temblaku, lecz z całą pewnością Marc.

– Co tu robisz? – spytała niezbyt inteligentnie.

– Przyszedłem do ciebie. Szybciej się nie dało.

– Myślałam, że chcą cię zatrzymać w szpitalu.

– Jestem lekarzem, umiem przekabacić kolegów po fachu. Przenieśli mnie na tutejszy oddział neurologiczny. – Usiadł na łóżku, objął Lucy zdrowym ramieniem i mocno przytulił. – Wytłumaczyłem im, że to dla mnie najlepsze lekarstwo. Pamiętasz, jak stan Simone poprawiał się w oczach, odkąd przyjechała do zamku? Ze mną jest podobnie, tyle że nie mówię o miejscu, a o osobie.

Ku jej wielkiej radości pocałował ją, ale wyrwała się po chwili, protestując:

– Marc, nie możemy! Sam podjąłeś taką decyzję.

– Zmieniłaś zasady gry pewnej deszczowej nocy na zboczu góry. Pocałowałaś mnie i powiedziałaś, że mnie kochasz!

– Nie łap mnie za słówka! Bałam się, że zaraz zginiemy!

– Czyż w obliczu śmierci człowiek nie jest szczerzy? Mówiłaś z serca? Kochasz mnie jeszcze?

– Tak, ale... Marc, proszę, nie rób mi tego. – Rozpłakała się gwałtownie. – Nie dość się nacierpiałam?

– Lucy, kochanie moje, bardzo cię przepraszam. – Spojrzał na nią skruszony. – Nie chciałem, żebyś przeze mnie cierpiała. Za dobrze wiem, jak to jest. – Pocałował ją znowu i oznajmił: – Lucy, kocham cię.

– Co? – Nie dowierzała własnym uszom.

– Skoro ty mogłaś to powiedzieć, to i ja mogę – odparł przytomnie. – I chętnie to powtórzę: Lucy, kocham cię.

– Ale... Przecież sam mówiłeś... Wiem, jak kochasz Montreval, widziałam to miejsce, poznałam twoją matkę i...

– Muszę myśleć o swoim życiu i wiem, że chcę je spędzić z tobą. Oboje jesteśmy trochę pokaleczeni, może potrzebujemy więcej czasu. Ale kiedy usłyszałem, że mnie kochasz, zrozumiałem, co jest najważniejsze i nagle wszystko stało się proste. Ty jesteś dla mnie najważniejsza, ważniejsza niż Montreval, i nic nas nie rozdzieli. Wszystko da się jakoś pogodzić.

– Nieraz myślałam, że jestem szczęśliwa – wy-

szeptala Lucy, czujac lzy na policzkach – ale mylam sie. Dopiero teraz wiem, co to szczescie.

Pocalowala go mocno.

– Ja ci wyznalam miłość, a ty w najlepsze przysnalés – przypomniała mu z wyrzutem.

– Mit wielkiego francuskiego kochanka zostal obalony. Sluchaj, wiem, ze wiele musialabyś mi wybaczyć, ale jeśli potrafisz, jeśli zdołam cię przekonac...

Przerwalo mu pukanie do drzwi. Spojrzal na Lucy, która chwycila pierwsza ksiazke, jaka jej wpadla w reke, i lekko uchylila drzwi.

– Proszę, June – powiedziala. – Fajnie mi sie to czytalo. Jestem skonana, chce sie polozyc. – Ziewnela teatralnie. – Do jutra.

Zamknela drzwi i usmiechnela sie do Marca.

– Będziemy mieli spokój.

– Mowilas, ze chcesz sie polozyc.

– Mowilam, a ty prosiles o wybaczenie. Cóz, uzyskales je juz dawno. Idę sie polozyc, a ty czuj sie rozgrzeszony.

– Cieszę sie bardzo.

– Pamietasz, jak cię pocalowalam, a ty zasnalés? Dzisiaj ty mnie pocalowales, a ja chce sie polozyc spac. W kazdym razie chce do lozka. Jesteś bardzo zmeczony?

– Niespecjalnie – zapewnil, wyciagajac zloty medalik, skryty dotad pod jej bluzka, po czym spojrzal jej w oczy. – Miłość wszystko przewyciezy.

EPILOG

Minęły trzy gorączkowe, pracowite i wyjątkowo szczęśliwe miesiące. Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami.

– Wymarzony moment na ogłoszenie zaręczyn – powiedział Marc. – Jedziemy dalej szukać pierścionka?

Mieli za sobą dwa czy trzy nader przyjemne poranki spędzone w salonach jubilerskich, podczas których porównywali zalety najróżniejszych pierścionków – zabytkowych, nowoczesnych, złotych, platynowych, z jednym oczkiem bądź z wieloma kamieniami – lecz dotąd na nic się nie zdecydowali.

– To mnie zawsze wprawia w dobry humor. Ale chyba nam się nie śpieszy?

– Za to twojej matce owszem. Ciągłe słyszę, że gdyby ktoś chciał wynająć dużą salę, obojętnie z jakiego powodu, powinien pamiętać o wcześniejszym zrobieniu rezerwacji.

– Moja mama to urodzona dyplomatka. Nie mówi wprost, ale i tak wiadomo, o co jej chodzi. Marzy jej się przyjęcie zaręczynowe.

– Mnie też – odparł. – Podobnie jak mojej matce. Ma o tobie bardzo dobre zdanie. Chciałaby się z tobą zobaczyć. No i nie może się doczekać wnuka.

– To, że twoja matka marzy o wnuku, akurat do mnie nie przemawia. Ale jeśli chcesz, w styczniu moglibyśmy wziąć urlop i do niej pojechać. Niech się oswaja z myślą, że jesteśmy razem.

– Bardzo się z tego cieszy. Już snuje pewne plany.

– Tak? – Lucy zrobiła okrągłe oczy.

– Nasza rodzina istnieje od półwiecza. Matka uważa, że urodzisz cudowne dzieci i zapewnisz ciągłość dynastii Montreval. Mówi, że masz wszystkie cechy, których nam potrzeba.

– Poczulałam się jak klacz rozplodowa – mruknęła Lucy.

Wielokrotnie rozmawiali o kwestii powrotu Marca do Montreval. Lucy chciała z nim jechać, on powtarzał, że na pewno nie czułaby się szczęśliwa w małej francuskiej osadzie, w której mieszkają głównie starzy ludzie.

– Jakoś to będzie – powiedziała, gdy ten temat ponownie wyplłynął w poniedziałek wieczorem. – Najważniejsze, że jesteśmy razem.

– O tak – zapewnił i mocno ją pocałował.

W środę wieczorem postanowili wstąpić na chwilę do Czerwonego Lwa. Marc czekał na nią niezmiernie przejęty, pocałował ją szybko i oznajmił:

– Nie idziemy do Czerwonego Lwa. Będziemy świętować tylko we dwoje. Chcę ci coś pokazać.

– Pierścionek?

– Nie, nie pierścionek, coś znacznie lepszego. Zabieram cię do siebie.

Nie powiedział nic więcej, dopóki nie usiedli

w salonie, a Marc nie otworzył specjalnie na tę okazję schłodzonego szampana.

– Za naszą szczęśliwą przeszłość – powiedział, podając jej kieliszek. – Teraz rysuje się znacznie wyraźniej.

– Marc, nie trzymaj mnie w niepewności! Oповідаj, co się stało. Widzę, jaki jesteś szczęśliwy, daj i mnie się nacieszyć. Dlaczego nasza przyszłość rysuje się wyraźniej?

– Patrz, to jest Montreval – oznajmił, rozkładając na stole mapę. – Ślepy zaułek, maciupeńka wioska przez całą zimę odcięta od świata, mało miejsc pracy, żadnych atrakcji. Mało kto się zapuszcza w te strony. – Wziął czerwony flamaster i wyrysował linię wzdłuż dna doliny, po czym dostawił za nią szereg kropek. – Przed chwilą dzwonił do mnie Jules Romilly, wiesz, ojciec Simone. Jest prawnikiem i pilnuje naszych spraw. Okazuje się, że rząd przyznał dotację na budowę linii kolejowej, która pobiegnie przez dolinę. Powstanie tunel, który połączy nas z zagłębieniem narciarskim. Roboty zaczną się już wiosną. Montreval przestanie być miasteczką zabita deskami. Zjedzie się mnóstwo ludzi, powstaną nowe miejsca pracy. Zaczną się czasy dobrobytu.

– Jesteś zadowolony? Czy to nie znaczy, że hrabia Montreval przestanie być potrzebny?

– Jestem zachwycony. Matka może przejść na emeryturę, interesować się posiadłością, ale już nią nie zarządzać. Wuj się z nią kontaktował, przymierza ją się do przerobienia zamku na hotel. A ja...

– Przestajesz być potrzebny.

– Mam wybór! Jeśli postanowię praktykować w Montreal, mogę wybudować klinikę, tak jak marzyłem. Albo zostać w Anglii i zrobić specjalizację z położnictwa. Jestem taki szczęśliwy! A może jedno połączę z drugim? Jak chcesz to uczcić?

– Chodźmy kupić ten pierścionek – odparła, uśmiechając się do niego z zadowoleniem.